Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

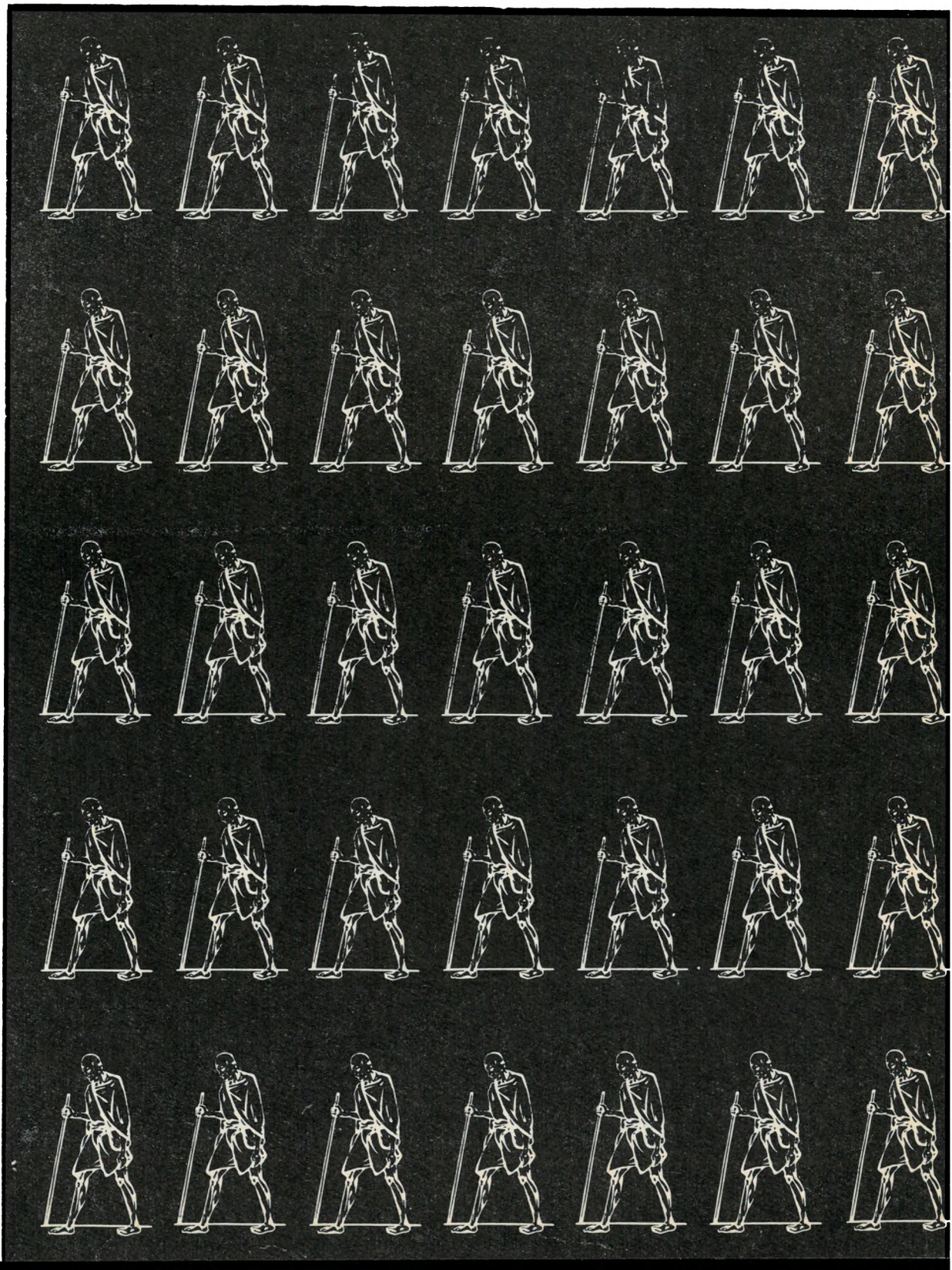

6
76

Rocznik XX (XXXIV)

NASZYM ZDANIEM

Czy wolno milczeć?

Współczesne czasy stawiają każdego człowieka wobec trudnych problemów moralnych, sytuacja nieustannie zmusza do dokonywania wyboru. Łatwo zagubić się nie tylko komuś, kto nie kieruje się w życiu określonymi zasadami, ale i chrześcijanowi, który pragnie postępować zgodnie z wolą Boga i dlatego szuka norm w Piśmie świętym. Trudność polega między innymi na tym, że radykalnie zmieniły się warunki życia, sytuacje, w jakich się znajdujemy, często diametralnie różnią się od tych, do których nawiązują teksty biblijne. Stąd wynika konieczność pogłębionych studiów nad wskazaniami zawartymi w Piśmie świętym, a zwłaszcza interpretowania nowych sytuacji w świetle tych wskazań. Rola nauczycieli w Kościele polega między innymi na stałym przypominaniu o normach obowiązujących chrześcijan. Jest to zadanie szczególnie ważne w naszych czasach, kiedy pod różnymi pozorami kwestionuje się nawet elementarne zasady moralne. Można dyskutować nad tymi sprawami z ludźmi, którzy mają jakieś zasadnicze — osobiste, filozoficzne, światopoglądowe — powody do kwestionowania tych czy innych norm. Jak jednak dyskutować z ludźmi, którzy burzą porządek moralny z powodów komercjalnych? Jakie wysuwać argumenty wówczas, gdy u podłoża działań leżą po prostu ciężkie pieniądze, które się robi, na przykład, na pornografii?

Literatura, sztuki piękne, film pełne są wybujałego erotyzmu. Czasem trudno przeprowadzić linię graniczną między tym, co jest sztuką, a tym, co już jest pornografią. Sytuację komplikuje zjawisko, które można nazwać pornograficznym odbiorem dzieła sztuki.

Walka z pornografią czy też z wybujałym erotyzmem w sztuce wymaga cywilnej odwagi. Śmiałek może łatwo narazić się na niewybredne ataki, na zarzuty obskurantyzmu, zacofania, na ośmieszenie.

Autorzy powieści, a zwłaszcza filmów, umieją grać na uczuciach, wykorzystywać ludzkie słabości. Powodowani niskimi pobudkami w sugestywny sposób gloryfikują często łamanie norm moralnych, ukazując rzekome szczęście w zaspokajaniu popędu seksualnego. Panowanie nad popędem, wstrzemięźliwość nie są u nich w wysokiej cenie. Stwarzają w ten sposób wzorce do naśladowania, za którymi idzie wielu, nie tylko młodych, ale za to bezkrytycznych ludzi, którym się zdaje, że wolno im ulegać niczym nie skrępowanej swobodzie obyczajów. W kinach na Zachodzie, wyświetlających filmy pornograficzne, niby ostrzega się publiczność przy pomocy wywieszki, że jeśli kogoś razi oglądanie aktu seksualnego, niech zrezygnuje z obejrzenia filmu. W istocie ostrzeżenie spełnia rolę zakamuflowanej zachęty, bo przecież wielu chce uchodzić za ludzi postępowych, bez uwarunkowanych zakazami zahamowań. Mógłby kto zapytać, po co się martwić problemami państw zachodnich — przecież to daleko. Po pierwsze, nie tak bardzo daleko, żadna szczelna izolacja nas nie rozdziela, a po drugie, na naszym własnym gruncie obserwujemy zjawiska z tej samej dziedziny, choć nie w takim jak tam nasileniu. Wystarczy pójść na którykolwiek film kręcony przez naszych reżyserów (chlubny wyjątek stanowią „Noce i dnie" oraz filmy Krzysztofa Zanussiego), aby napatrzeć się na golizny i sceny erotyczne utykane na siłę, trzeba czy nie trzeba. Wystarczy poczytać „rady", odpowiedzi na listy w rozmaitych pismach, zwłaszcza młodzieżowych, aby znaleźć bardzo osobliwe opinie na temat życia seksualnego, wypowiadane przez wątpliwej marki moralistów.

Coraz bardziej rozpowszechnia się przekonanie, że współżycie dwojga młodych ludzi przed ślubem to jest zjawisko „normalne" (bo przecież „wszyscy"), a „zabawa we dwoje" — atrakcyjnym sposobem spędzania czasu. Kiedy jednak pojawi się ciąża, to się ją usunie (!), bo to przecież „normalne", po co komplikować sobie życie. Stosunki homoseksualne coraz częściej bywają akceptowane, a przynajmniej uznawane za sprawę „prywatną".

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że Kościół nie może milczeć i patrzeć z założonymi rękami na coraz powszechniejsze zjawiska, wypaczające postawy moralne. Ze zrozumieniem więc i z należytą uwagą należy przyjąć niedawno opublikowaną przez watykańską Kongregację Doktryny Wiary „Deklarację dotyczącą niektórych zagadnień etyki seksualnej". Zajmuje się ona tylko niektórymi przejawami nadużyć w dziedzinie seksualnej, mianowicie stosunkami przedmałżeńskimi, homoseksualizmem i masturbacją. Większa część dokumentu dotyczy jednak oceny ogólnej sytuacji i pozytywnych wskazówek na temat zachowania właściwej postawy moralnej.

Dokument zawiera szereg stwierdzeń dyskusyjnych, zwłaszcza z punktu widzenia etyki i teologii ewangelickiej, tym niemniej zasługuje na uznanie jako głos w obronie podstawowych praw moralnych.

CO W NUMERZE?

Dzień Zesłania Ducha Świętego, przypadający w tym roku 6 czerwca, zaznaczamy kazaniem pt. **Zamysłem Ducha — życie i pokój** (s. 3), napisanym przez ks. dr. Jerzego Gryniakowa, który twierdzi, że „wierzyć to znaczy mieć Ducha Chrystusowego, dać się przez Ducha Bożego opanować".

Modlitwa na s. 4 wyjątkowo nie jest związana tematycznie z kazaniem, tylko z rozpoczynającym się sezonem urlopowym. Wydaje nam się, że Czytelnicy znajdą w niej zarówno inspirację do własnej modlitwy, jak i szereg problemów do przemyślenia.

Wracamy znowu do spraw Zgromadzenia ŚRK w Nairobi. Halina Bortnowska, zaproszona do Nairobi w charakterze eksperta, dzieli się z nami swoimi refleksjami w artykule **Kilka głównych wątków** (s. 5).

W obszernym, opartym na materiałach źródłowych artykule historycznym dr Witold Pruss pisze **O Ewangelikach warszawskich w świetle statystyki ludnościowej lat osiemdziesiątych XIX wieku** (s. 6). Jest to bardzo interesujący przyczynek do dziejów warszawskiego ewangelicyzmu, jednocześnie spełniający rolę swego rodzaju preludium do następnego numeru „Jednoty", poświęconego 200-leciu warszawskiej parafii ewangelicko-reformowanej. Echa jubileuszu 50-lecia „Jednoty" znajdą Czytelnicy w skróconym — z konieczności — opracowaniu dyskusji **O Kościele** (s. 10), która odbyła się w lokalu redakcji dnia 26 lutego br. w szerokim gronie ekumenicznym.

W artykule pt. **Osiem grzechów śmiertelnych cywilizowanej ludzkości** Henryk Kalwaryjski omawia książkę Konrada Lorenza, znakomitego biologa, laureata nagrody Nobla, książkę, która ukazała się pod takim właśnie tytułem.

W Rozmowach przy studni dyskutowana jest sprawa cudownego uzdrowienia chorego znad Betezdy (s. 16).

Kolejny odcinek **O Biblii,** już 22, przynosi omówienie Księgi Jeremiasza (s. 18).

Numer zamykamy **Przeglądem ekumenicznym** na s. 19 i 20.

NASZA OKŁADKA:

Kościół kulawych pielgrzymów (do dyskusji o Kościele, na s. 10)

KS. JERZY GRYNIAKOW

Zamysłem ducha — życie i pokój

Zamysł ciała to śmierć, a zamysł Ducha to życie i pokój.

Rzym. 8 : 6

Święto zesłania Ducha Świętego jest pamiątką narodzin Kościoła, kiedy to w dniu pięćdziesiątnicy zostało w Jerozolimie „ochrzczonych i pozyskanych około trzech tysięcy dusz" (Dz. Ap. 2). To wydarzenie przyjmujemy za datę powstania Kościoła chrześcijańskiego.

Gdybyśmy chcieli zastanowić się teraz nad wynikami pracy i działania Kościoła, zapytać byśmy musieli przede wszystkim o kryteria takiej oceny. Apostoł Paweł w 8 rozdziale Listu do Rzymian mówi, że prawdziwi chrześcijanie, a zatem i prawdziwy Kościół, byli i są zawsze tam, gdzie panuje Duch Chrystusowy, którego zamiarem i celem jest tworzenie życia i pokoju.

ŻYCIE BEZ DUCHA JEST PODDANE ZAKONOWI GRZECHU I ŚMIERCI

Życie chrześcijanina i życia Kościoła nie zawsze były i nie zawsze są takie, jak wymaga tego ich Pan. Jeżeli w Kościele zabraknie Ducha Chrystusowego, obserwujemy zjawisko potępiania i wyklinania innych, prześladowania i zabijania inaczej wierzących, płonące stosy, wyzysk i ucisk braci — czarnych, żółtych, czerwonoskórych. Na zewnątrz utrzymane są pozory chrześcijaństwa, wykonywane przepisy zakonu kościelnego, kościelne obrządki i reguły, stosowana litera zakonu — a wszystko w przeświadczeniu, że w taki sposób najlepiej wypełniana jest misja i posłannictwo Kościoła. A tymczasem zakon okazał się zakonem grzechu i śmierci. Bo litera zabija, a duch ożywia. Zakon dawał jedynie poznanie grzechu. Nikt nie jest w stanie wypełnić wszystkich przepisów kościelnych, czy choćby tylko Dziesięciu Przykazań. To, że grzeszny człowiek może wypełnić zakon, okazało się złudzeniem i często prowadziło do największego grzechu, do pychy. Zakon był bowiem potężną siłą, obezwładniającą człowieka i powodującą fałszywe mniemanie, że można samemu osiągnąć doskonałość i zbawienie. Tymczasem „cielesna" natura człowieka sprawiła, że grzech mógł posłużyć się zakonem dla własnego zwycięstwa, sprowadzając na człowieka śmierć...

W dobie Reformacji Kościół przypomniał znów sobie pisma Pawłowe, a szczególnie List do Rzymian, i na nowo uprzytomnił sobie rolę starego zakonu, który apostoł ocenia niezwykle ostro, nazywając go zakonem grzechu i śmierci. Bóg nie zniósł bynajmniej tego zakonu i jego przykazań, nie zrezygnował z jego wypełnienia. Zakon został wypełniony! Z tą tylko różnicą, że nie przez nas, lecz przez Chrystusa! Bóg nie zrezygnował z potępienia grzechu. Grzech został surowo osądzony, ale znów sąd nie dokonał się na nas, lecz na Nim! Wszystkie przestępstwa na tej ziemi popełnione od czasu pierwszego grzechu zostały zaniesione na Golgotę i tam odkupione. Pośród krwawej historii ludzkości Bóg ustanowił nowy początek, nowy promień nadziei pośród beznadziejności ludzkich poczynań. I ten nowy początek zaświadczył potem zesłałem Ducha Świętego!

ZAMYSŁEM CIAŁA JEST ŚMIERĆ — powiada apostoł. Czy to się zgadza? Czy ciało nasze nie broni się przed śmiercią? Czy nie leczymy go, aby odsunąć śmierć na dalszy termin?

Mówiąc o ciele (po grecku *sarks),* apostoł Paweł ma na myśli bytowanie człowieka w oderwaniu od Boga, a nawet przeciwko Bogu. Nie myśli więc tu o ciele (po grecku *soma)* w naszym obecnym potocznym rozumieniu (np. w Rzym. 8 : 3). Uwzględniając to rozróżnienie pomiędzy *sarks* a *soma,* zrozumiemy, że tym razem autorowi Listu do Rzymian chodzi o bunt i sprzeciwianie się Bogu (Rzym. 7) i Jego przykazaniom, co nie może się Bogu podobać i prędzej czy później doprowadzi człowieka do śmierci. To ciało *(sarks),* będąc siedliskiem i narzędziem grzechu, nie może się ustrzec przed grzechem.

Wiemy doskonale, jak często ciało — nie tylko w znaczeniu *sarks,* ale także *soma* — kusi nas i jak bardzo mu ulegamy. Podobnie i Kościół bywa kuszony, aby już tu zatryumfować nad wrogami, imponować swoją potęgą i bogactwem. Jak wyzwolić się z tego ciała? Czy umartwiać je, jak to czynili biczownicy? Czy zamienić kościoły w klasztory?

Bynajmniej! Sprawy ciała duchem umartwiajcie — woła apostoł. Nie chodzi o zwykłą asceze, o odmawianie jadła i napoju. Ciało, w znaczeniu *soma*, ma zostać zachowane aż do zmartwychwstania, aby je Chrystus przemienił, podobnie jak przemienione zostało Jego ciało. Zniszczeniu ma ulec jedynie *sarks*, ośrodek grzechu i ludzkiej przewrotności.

TYLKO DUCH WNOSI ŻYCIE I POKÓJ

I znów ktoś zapyta: — A czy nie wystarczy, gdy czynimy coś „dla ducha"? Czy nie dość, gdy pielęgnujemy „sprawy duchowe" — kulturę, sztukę, filozofię...

Odpowiedzmy pytaniem na pytanie: — A czy wszystkie te duchowe wartości, których pielęgnowanie jest skądinąd cenne i pożyteczne dla rozwoju ludzkości, nie chcieliśmy postawić na miejscu Ducha Bożego? Udowodnić nimi naszą wielkość i uczynić Boga zbędnym? Czy były one w stanie zapewnić ludzkości pokój? Czy nie wtedy właśnie Kościół był słaby, gdy pokładał swe zaufanie w „duchowych wartościach", a nie było w nim Ducha Bożego? Tylko Duch Boży jest twórcą prawdziwego życia i rzeczywistego pokoju. Duch Boży nie ma innych planów, zamiarów i ukrytych celów. Jeśli wszyscy chrze-

Modlitwa w czasie urlopu

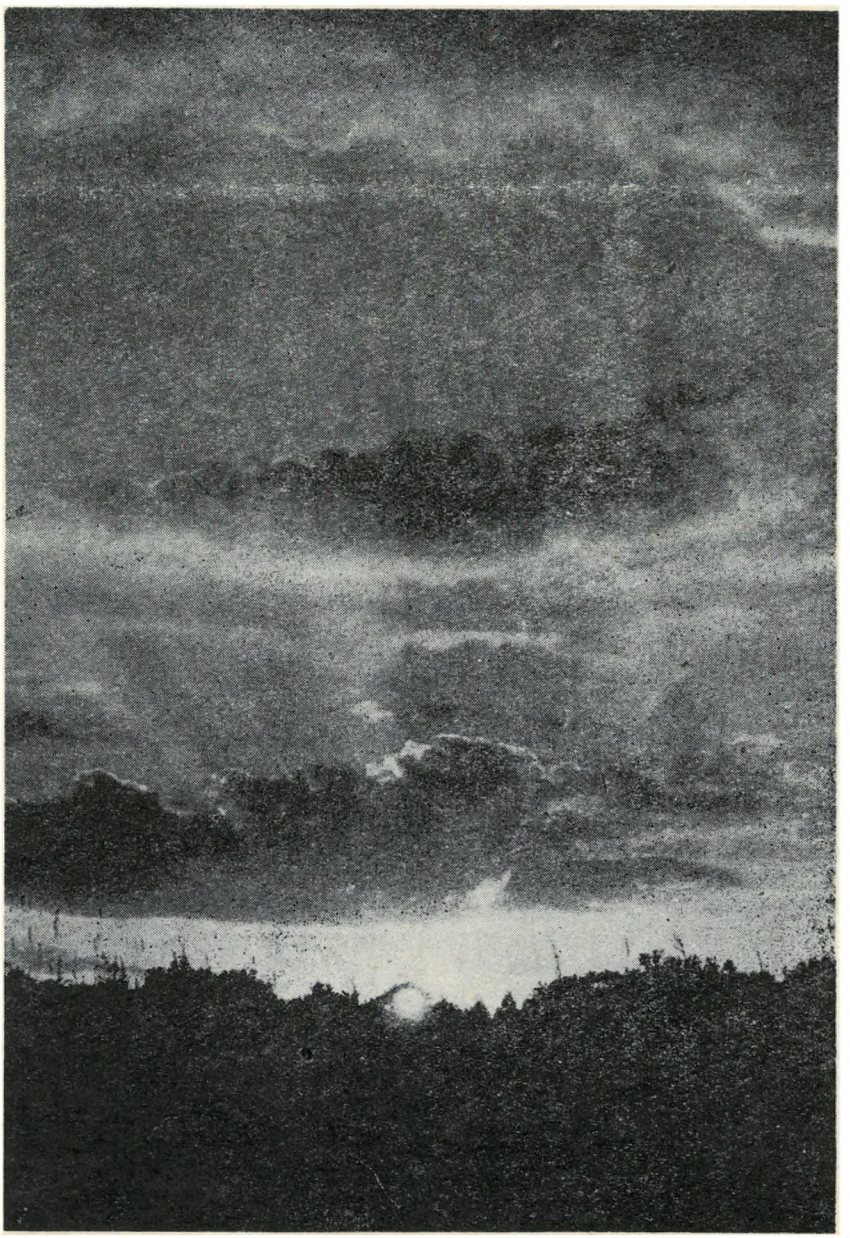

Boże jedenastu miesięcy pracy
i dwunastego miesiąca urlopu,
który błogosławisz mojemu wysiłkowi,
pobłogosław i wypoczynkowi memu...
Abym pojął, że nie jest on tylko
moim przywilejem,
ale i obowiązkiem względem Ciebie,
zupełnie tak samo
jak świętowanie niedzieli...
Abym choć raz do roku
wyrwał się na dłużej
z twardych trybów
codziennych obowiązków
i oczy podniósł
ku nie zadymionemu niebu...
Abym, oddając Kopernikowi
co kopernikańskie,
zobaczył, jak słońce wychodzi
spoza zamglonych gór,
a wieczorem,
jak w najprawdziwszej bajce,
układa się do snu
w wodach jeziora...
Abym usłyszał beztroski śmiech
tryskającego spod nart śniegu,
albo czuł jak oddycha
i żyje ziemia na polu...
Abym zdjął z oczu
okulary obowiązku,
a z rąk wypuścił
długopis pośpiechu
i razem z dziećmi cieszył się
nie zakurzoną czerwienią mchów
i okrągłością piłki do siatkówki...
I abym doszedł nagle do wniosku,
że ludzie nie są tacy źli,
a życie ma wiele uroku...
Pójdę wtedy do lasu.
Wiatr mi będzie organistą,
a ptaki chórem,
gdy odprawiać będę
w samotności nabożeństwo
według porządku,
który nie jest żadnym porządkiem,
ale najbardziej zbliży mnie do Ciebie.
Wyznam Ci wtedy
me grzechy i upadki,
i wszystko to,
czym obraziłem Cię
przez te długie jedenaście miesięcy,
i prosić będę
o Twą pomocną rękę
w roku następnym.
I wreszcie upadnę na kolana,
dziękując Ci:
— Chwała Tobie, Jezu Chryste!

ścijanie przyjmą do wiadomości, że wierzyć to znaczy mieć Ducha Chrystusowego, dać się przez Ducha Bożego opanować — wówczas będzie to miało wpływ także na pozostałą większość ludzkości i na sprawę pokoju między narodami.

Tylko powiew Ducha Bożego może znów ożywić oziębłe serca. W obliczu konfliktów na świecie, pośród często nieśmiałej i nieporadnej działalności Kościoła — Bóg zsyła swego Ducha, aby dodać nam mocy i odwagi, ufności i wiary w to, że ostatnie słowo należy do życia i do pokoju. Dopóki żyjemy na ziemi, będziemy błądzić i przeżywać rozczarowania, niejedne życzenia pozostaną nie spełnione. To samo dotyczy Kościoła, ponieważ składa się on z ułomnych ludzi. Ale Kościół posiada obietnicę, iż bramy piekielne go nie przemogą. Jego głową jest bowiem zmartwychwstały Pan, który przywiedze go do celu, mimo naszych ułomności. Taki jest Boży zamysł. Zmartwychwstanie Chrystusa zaświadcza, że to nie mrzonka ani utopia. Chrystus ustanowił wśród nas swój Kościół, w którym chrzci, zwiastuje i zaprasza do swego Stołu. W ten sposób wyrywa grzeszników z mocy śmierci i przenosi ich do Królestwa pojednania, pełnego życia i pokoju, którego już nic zmącić nie zdoła. Amen.

HALINA BORTNOWSKA

Kilka głównych wątków

Po Zgromadzeniu ŚRK w Nairobi

Tematem ekumenicznych spotkań nie musi być ekumenia. Może najbardziej wśród nich udane i ważkie są właśnie te, gdzie porozumienie tak dalece jest już faktem, że nie trzeba o nim mówić. Oczywiście, w Nairobi mówiono także o ekumenizmie, ale chyba nie tylko dla mnie był on tam bardziej faktem niż przedmiotem debaty. Samo zaistnienie takiego chrześcijańskiego forum zobowiązywało, by pójść dalej, by wspólnie, jako chrześcijanie, podjąć temat dla wszystkich zasadniczy — nasze świadectwo i ewangelizację — czyli, jak wyznajemy dziś Chrystusa. Hasło Zgromadzenia wskazywało na dwa szczególne kierunki tego świadectwa: Chrystus jako Ten, który wyzwala, Chrystus jako podstawa spotkania i fundament jedności, jako Ten, który jednoczy.

Hasło Nairobi zawiera w sobie wielkie teologiczne głębie. Medytacja nad nim dopiero się rozpoczęła, Zgromadzenie stanowiło wstęp do niej, a nie podsumowanie. Może znów podejmiemy to samo hasło, gdy spotkamy się za siedem lat, na następnych Wielkich Rekolekcjach?

W okresie przygotowawczym stykając się z tym hasłem małam nadzieję, że sekcja I Zgromadzenia zajmie się nim obszerniej i że rozważania pójdą w kierunku interesującym każdego chrześcijanina, że wspólnie z innymi wierzącymi z całego świata, i z tak wielu Kościołów, będziemy szukać odpowiedzi na pytanie, jak być dziś świadkami Jezusa Chrystusa? A więc, jak w konkretnych sytuacjach czynić nasze życie bardziej przejrzystym wobec Ewangelii, tak aby ono na nią wskazywało i by ona w nim była żywa, działająca, rozświetlająca. Wśród delegatów zgromadzonych w Nairobi przeważali jednak ludzie, dla których głoszenie Ewangelii jest obowiązkiem nie tylko osobistym, wyrastającym z przekonania i wiary, lecz także zawodowym. Ich zainteresowania sprawiły, że krótki czas przeznaczony na obrady sekcyjne pochłonęły raczej problemy związane bliżej z działalnością duszpasterzy, misjonarzy, ludzi odpowiedzialnych za ewangelizację jako działalność kościelną, publiczną. To zaś jest oczywiście jeden tylko, choć bardzo ważny, aspekt chrześcijańskiego świadectwa.

Do jakich wniosków doszliśmy w tym węższym, ale za to bliżej sprecyzowanym zakresie? W pewnym sensie jeszcze za wcześnie na odpowiedź. Nie wszystkie wnioski znalazły wyraz w dokumentach. To, co najważniejsze, zapisane jest raczej nie na papierze lecz w jakże selektywnej pamięci uczestników. Poważniejsze podsumowania dopiero ujrzą światło dzienne. Jeszcze później będzie się można przekonać, czy i jaki wpływ rozważania w Nairobi wywrą na praktykę kościelną w różnych stronach świata i chrześcijaństwa. Mam jednak wrażenie — oczywiście bardzo subiektywne — że pewne osiągnięcia są niepodważalne.

P o p i e r w s z e — wszystkie oznaki wskazują, że w wyniku Zgromadzenia sama Rada Kościołów jeszcze wyraźniej zbliża się do problematyki bezpośrednio duszpasterskiej. Rośnie np. zaangażowanie w przemyślenia praktyczno-teologiczne. Można mieć nadzieję, że teraz ożywi się kontakt pomiędzy teologami i ekspertami, czynnymi w kręgach Rady, a ludźmi których czas, energię i zainteresowania pochłania codzienne życie zboru, parafii, placówki misyjnej czy innej wspólnoty religijnej.

P o d r u g i e — na forum ekumenicznym dochodzimy pomału do przezwyciężenia pęknięcia, które określiłabym mianem d u a l i z m u d u s z p a s t e r s k i e g o. Zawarty jest on już w samym terminie „duszpasterstwo". Termin ten sugeruje troskę wyłącznie o „dusze", ograniczanie się do jakiejś specjalnej, nadprzyrodzonej, płaszczyzny, podczas gdy chodzi przecież o ludzi, o dawanie im świadectwa w Chrystusie, o wychowanie chrześcijan, o zwo-

łanie i budowanie chrześcijańskiej wspólnoty braterskiej...
W Nairobi mówiono o misji i ewangelizacji na ogół w sposób wolny od dualizmu, a nawet wobec niego polemiczny. Taki duch panuje też w sprawozdaniach i zaleceniach. Wyłania się z nich wizja zwiastuna Ewangelii i przewodnika gminy, który nie jest „solistą" lecz człowiekiem pracującym zespołowo, mocno osadzonym we wspólnocie, która go wychowuje, wspiera i posyła, aby zwoływał nowe wspólnoty. Wchodząc w środowisko ewangelizowane, świadek Chrystusa czuje się solidarny z ludźmi, którzy je tworzą — przychodzi dzielić ich los i przyjmuje go za swój tak bez reszty, jak Chrystus swe człowieczeństwo (Bp Mortimer Arias — referat plenarny). Wyznawanie Chrystusa, gotowość spotkania „Chrystusa innych" ma wyzwalać od uprzedzeń, pychy i poczucia wyższości, zatruwającego i paraliżującego wspólnotę (tak wspólnotę wyznaniową, jak i szerszą, ekumeniczną). Chrystus, widziany oczyma innych, może nam stawiać wymagania twardsze niż „nasz Chrystus", niż Jego obraz utworzony, przynajmniej częściowo, na zasadzie kompromisu pomiędzy wiarą a moralnym wygodnictwem (Mc Affee Brown — referat plenarny).
Sekcja I zajmowała się duszpasterstwem jako głównym, choć nie sformułowanym tematem, ale znów — podobnie jak z ekumenizmem — nasze doświadczenie i możliwości duszpasterskie bardziej się wzbogacają, gdy mówi się nie o duszpasterstwie i jego metodach, lecz o zagadnieniach domagających się przepracowania w duchu wiary. Z tego punktu widzenia Nairobi dało wiele. Wszystkie dokumenty zawierają motywy i pytania, które warto wziąć pod uwagę w pracy duszpasterskiej.
Towarzyszące Zgromadzeniu kontakty i przeżycia kazały mi przywiązywać szczególną uwagę do rozważań nad s t y l e m ż y c i a. Specjalnie ważny był tu referat australijskiego przyrodnika, prof. Charlesa Bircha. Być może w perspektywie czasu ten właśnie wątek V Zgromadzenia okaże się najważniejszy. Trudno tu streszczać niezwykle interesujące wywody Bircha i dyskusję wokół nich. Zasadniczą tezą było stwierdzenie zarówno naukowej, jak i etyczno-teologicznej niewłaściwości technokratycznego podejścia do przyrody i zasobów ziemi. Stąd płynie, z jednej strony, marnotrawstwo pozbawione „szacunku dla bytu", a z drugiej — niesprawiedliwy podział powodujący, że jedni mogą zaspokajać zachcianki, a inni skazani są na choroby i śmierć z niedostatku.
Życie w turystycznym Nairobi było wymowną ilustracją tego twierdzenia. Hotele na amerykańskim poziomie, luksusowy, supernowoczesny ośrodek, gdzie odbywały się nasze obrady — a obok, na tych samych ulicach, bezdomne dzieci nocujące pod drzewami, utrzymujące się z żebraniny i kradzieży. Godna przemyślenia jest sformułowana przez prof. Bircha zasada głosząca, iż każdy kraj zużywający więcej zasobów, niżby nań przypadło przy równym podziale, jest już nadmiernie rozwinięty. Może jednak nie tylko Amerykanie powinni robić rachunek sumienia? — W tym świetle szczególnym grzechem staje się każde marnotrawstwo, każde prestiżowe sięganie po to, co nie jest rzeczowo niezbędne.
Uwagi te nie stanowią, oczywiście, pełnego podsumowania nawet moich osobistych, subiektywnych wrażeń z Nairobi. Było to doświadczenie ogromnie bogate, trudne. Jeszcze go w pełni nie ogarniam. Na razie, na obecnym etapie refleksji, wymienione w tej wypowiedzi wątki wydają się mieć znaczenie centralne. Każdy z nich wymagałby rozwinięcia, a wtedy ukazałyby się dalsze pytania i dalsze, może nawet zupełnie nowe, perspektywy ruchu ekumenicznego.

WITOLD PRUSS

Ewangelicy warszawscy w świetle statystyki ludnościowej lat osiemdziesiątych XIX wieku

Przypadający na drugą połowę XIX w. rozwój gospodarczy ziem polskich i wzrost liczby ludności ostatecznie przesądziły o znaczeniu Warszawy jako największego na ziemiach polskich ośrodka miejskiego o funkcjach gospodarczych, kulturalnych i politycznych. Warszawa u progu XIX w. w niewielkim stopniu przypominała ludną i tętniącą życiem stolicę z ostatnich lat Rzeczypospolitej szlacheckiej (wedle danych z 1792 Warszawę zamieszkiwało prawie 120 tys. osób).
W okresie okupacji pruskiej, po III rozbiorze (1795), liczba mieszkańców spadła o połowę i dopiero w Warszawie jako stołecznym mieście Królestwa Kongresowego (od 1815) osiągnęła stan z końca XVIII w. W połowie XIX stulecia Warszawę zamieszkiwało prawie 250 tys. osób, w latach osiemdziesiątych (interesujących nas w tym artykule szczególnie) statystyka notowała ok. 400 tys. mieszkańców, w końcu XIX w. Warszawa była już miastem ponad półmilionowym, a przed I wojną światową liczba ludności wzrosła do prawie 900 tys. Stawiało to Warszawę w rzędzie większych miast Europy (poza stolicami ówczesnych mocarstw). Pod względem potencjału ludnościowego dorównywała ona Pradze, Budapesztowi, przewyższała Rzym i dystansowała znacznie stolice państw bałkańskich i skandynawskich. Cechą charakterystyczną Warszawy był jej wielonarodowościowy, a więc i w znacznym stopniu wielowyznaniowy skład.
Od drugiej połowy ubiegłego wieku wyraźnie wyodrębniły się trzy zasadnicze grupy wyznaniowo-narodowościowe: katolicko-polska, mojżeszowo-żydowska i prawosławno-rosyjska (pominięta w tym artykule). Interesująca nas grupa ewangelicka

w zdecydowanej większości współżyła z pierwszą z nich. Ewangelicy — wśród których dość liczni byli rdzenni Polacy (gmina ewangelicko-reformowana) i spora część Niemców (gmina ewangelicko-augsburska) szybko jednak polonizujących się — stanowili w początkach lat osiemdziesiątych XIX w. grupę prawie 18 tys. osób, tj. 4,6% w stosunku do całej ludności Warszawy.

przypadki lokowania się na Pradze, Woli czy Powiślu.

Struktura płci była równomierna, natomiast wśród rzymskokatolików wyraźną przewagę miały kobiety, na co wpływała przede wszystkim imigracja ze wsi młodych dziewcząt, szukających zatrudnienia w Warszawie jako służące.

Wiek ewangelików przedstawiał się następująco: w latach osiemdziesiątych XIX w. dzieci (do 10 lat) stanowiły 18,4% całej tej grupy wyznaniowej, a ludzie powyżej sześćdziesiątego roku życia — 6,8%, natomiast u schyłku XIX w. proporcje te wynosiły odpowiednio: 15,4% i 8,3%. Świadczy to o zmniejszającym się przyroście naturalnym. U ewangelików procent osób starszych był najwyższy, wśród katolików starzy stanowili 5,6%, zaś grupa mojżeszowa liczyła ich 3,8% i aż 27,7% dzieci.

Ludność ewangelicka brała aktywny udział w wielostronnym życiu miasta. Ewangelików spotykamy wśród wszystkich grup zawodowo-społecznych.

Proporcjonalnie do całej grupy wyznaniowej, wśród ewangelików najwięcej osób (biernych i czynnych zawodowo) utrzymywało się z zajęć przemysłowych i rzemieślniczych; było ich o 10% więcej niż w grupie rzymskokatolickiej. Zwraca tu uwagę stosunkowo niewielki procent mojżeszowych, którzy byli natomiast aktywni na polu działalności handlowej i bankowej, przewyższając znacznie pod tym względem chrześcijan. Proporcjonalnie więcej ewangelików niż katolików zajmowało się handlem i bankowością, czynniejsi też byli w administracji i sądownictwie, większa ich część trudniła się wolnymi zawodami (lekarze, adwokaci, nauczyciele, artyści).

Największy udział mieli ewangelicy w grupie rentierów i kapitalistów, co oznacza, iż w ramach tego wyznania więcej było ludzi zamożnych niż pośród katolików, a zwłaszcza żydów, gdzie proces pauperyzacji posunięty był najdalej.

Przyjrzyjmy się obecnie bliżej niektórym grupom zawodowym. W dzia-

TAB. 1. LUDNOŚĆ WARSZAWY WEDŁUG WYZNAŃ w XIX I XX W.

Wyznanie	1882		1913	
	Liczba ludności	%	Liczba ludności	%
Rzymskokatolickie	223 127	58,3	471 129	55,7
Prawosławne	13 640	3,5	34 529	4,1
EWANGELICKIE	17 643	4,6	18 420	2,2
Mojżeszowe	127 917	33,4	317 817	37,6
Inne	637	0,2	3 235	0,4
Razem:	382 964	100,0	845 130	100,0

Źródło: N. Nietyksza: **Ludność Warszawy na przełomie XIX i XX w.** Warszawa 1971, s. 122.

Najliczniejsi w Warszawie byli rzymskokatolicy, ale ich stosunek procentowy w okresie przed I wojną światową uległ zmniejszeniu w związku z szybkim przyrostem naturalnym ludności wyznania mojżeszowego. Duży skok w liczbie prawosławnych (grupa całkowicie napływowa) tłumaczyć należy polityką caratu, zmierzającą do pełnej rusyfikacji.

Nieznacznie powiększyła się liczba ewangelików, natomiast wyraźnie zmniejszył się w roku 1913 jej stosunek procentowy w porównaniu do wszystkich mieszkańców, co świadczy o tym, że tempo wzrostu ilościowego było tutaj najmniejsze. Szczegółowa statystyka wyznaniowa podaje, iż w grupie ewangelickiej w początkach lat osiemdziesiątych XIX w. 16 362 osoby to członkowie zboru ewangelicko-augsburskiego, a 1 281 osób liczył zbór ewangelicko-reformowany; z tego wynika, iż reformowani stanowili maleńką cząstkę wyznaniową w stosunku do całej ludności Warszawy.

Reformowani zamieszkiwali w większości zamożniejsze dzielnice Warszawy. Spora ich część mieszkała w Śródmieściu (Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i przecznice), a także w okolicach Leszna, Ogrodowej i Placu Grzybowskiego, o wiele mniej mieszkało na Starym Mieście,

TAB. 2. LUDNOŚĆ WARSZAWY W 1882 WEDŁUG ZAJĘĆ I WYZNAŃ (w procentach)

Dział zajęć	Wyznanie		
	EWANGELICKIE	Rzymskokatolickie	Mojżeszowe
Rolnictwo	0,4	0,5	0
Przemysł i rzemiosło	43,0	34,8	27,8
Handel, bankowość	9,0	5,0	39,7
Komunikacja	3,9	5,7	2,4
Administracja, wolne zawody, sądy	13,2	11,4	10,2
Usługi — służba domowa	9,3	19,6	6,0
Rentierzy — kapitaliści	6,9	5,5	4,1
Emeryci	2,0	2,6	0
Nie pracujący zarobkowo	2,0	2,5	0,9
Wyrobnicy	9,2	10,8	6,9
Zajęcia niewiadome	1,1	1,6	2,0
Razem:	100,0	100,0	100,0

Źródło: jak tab. 1

Owczesna statystyka, dotycząca zajęć ludności Warszawy, nie wyodrębniała w ramach grupy ewangelickiej członków gminy augsburskiej i reformowanej; dane publikowano łącznie. Przyjmujemy, a jest to uzasadnione, iż skład zawodowy osób obu wyznań ewangelickich był wyraźnie zbliżony. Dane dotyczące wyznania ewangelickiego są więc reprezentatywne dla członków Kościoła ewangelicko-reformowanego w każdym razie mogą być podstawą do ukazania ich specyfiki.

W tej i następnych tabelkach posługujemy się tylko wielkościami procentowymi, co jest jedyną formą statystyczną umożliwiającą porównania.

le przemysłu i rzemiosła znajdowały się najróżniejsze branże produkcyjne. Ludność ewangelicka w większości zatrudniona była w wytwórczości — metalowej, chemicznej i włókienniczej — stanowiąc grupę wykwalifikowanych robotników, majstrów a także wyższy dozór techniczny. Procentowo w tej ostatniej grupie znacznie więcej było ewangelików niż katolików. W rzemiośle natomiast ewangelików spotykamy o wiele rzadziej.

Dział handlowy obejmował: handel prowadzony detalicznie i hurtowo, z bogatym asortymentem surowców i najróżniejszych artykułów przemysłowych i rolniczych, oraz handel inwentarzem żywym, a ponadto zajęcia związane z obrotem pieniędzmi (banki, kantory wymiany i kantory spedycyjno-handlowe) oraz pośrednictwo handlowe. Trudno statystycznie uchwytny jest handel domokrążny, którym zajmowała się głównie ludność mojżeszowa. Wedle spisu z 1882 notowano w Warszawie ok. 2 tys. handlarzy-domokrążców (w tym ok. 1,7 tys. żydów).

Handlem detalicznym zajmowała się w największym stopniu ludność katolicka (pod tym względem mojżeszowi stanowili odsetek mniejszy), natomiast znaczny procent w tej grupie trudnił się pośrednictwem, w którym katolicy mieli najmniejszy udział. W zajęciach bankowo-kredytowych najwyższy był udział ewangelików; również z dochodów, jakie przynosiła działalność w kantorach spedycyjno-handlowych, utrzymywało się 7% ewangelików zajmujących się działalnością handlową. Świadczy to o tym, iż zajęcia handlowe, wymagające lepszego przygotowania zawodowego i — w większym stopniu niż inne tu wymienione — decydujące o zamożności, były udziałem ewangelików.

Następną omawianą grupą zawodową jest ówczesna inteligencja, do której zaliczamy następujące zajęcia: urzędnicy (raczej niższych i średnich szczebli administracji, gdyż wyższe zastrzeżone były dla Rosjan — a więc głównie prawosławnych), pracownicy sądów (uwaga j.w.),duchowieństwo i administracja kościelna, nauczycielstwo, służba zdrowia (lekarze i średni personel medyczny) i wreszcie dziennikarze, literaci, aktorzy, muzycy, plastycy (te trzy ostatnie grupy zaliczano wtedy do tzw. sztuk pięknych).

Wśród katolików absolutna większość osób pracowała w różnych

TAB. 3. LUDNOŚĆ WARSZAWY W 1882 WEDŁUG ZAJĘĆ HANDLOWYCH I WYZNANIA
(w procentach)

Rodzaj zajęcia	Wyznanie		
	EWANGELICKIE	Rzymskokatolickie	Mojżeszowe
Handel różnymi towarami	84,0	93,5	78,9
Banki	2,6	0,4	2,0
Kantory spedycyjno-handlowe	7,0	3,5	1,8
Pośrednictwo handlowe	6,4	2,6	17,3
Razem:	100,0	100,0	100,0

Źródło: Rezultaty spisu jednodniowego ludności m. Warszawy 1882. Warszawa 1883, 1885.

urzędach; pod tym względem ewangelicy byli mniej aktywni i ustępowali także żydom. Natomiast więcej ich pracowało w sądownictwie. Duży udział mojżeszowych notujemy w grupie zajęć pedagogicznych, co związane było z rozwiniętym szkolnictwem religijnym, elementarnym i zawodowym młodzieży żydowskiej. W tej grupie wyznaniowej analfabetyzm występował bardzo rzadko. Zajęciom pedagogicznym poświęcało się proporcjonalnie ponad dwa razy więcej ewangelików niż katolików.

Także w służbie zdrowia ewangelicy byli aktywniejsi. W tej grupie wyznaniowej na jednego pracownika służby medycznej (w tym niższy personel) przypada średnio ok. 65 osób, wśród katolików analogiczna średnia wynosiła ok. 80 osób, natomiast na każdą osobę wyznania mojżeszowego pracującą w służbie zdrowia przypadało ok. 120 żydów.

Zestawiając dane odnośnie tylko do lekarzy, otrzymamy następujące wskaźniki. Na każdego lekarza-protestanta przypadało ok. 250 członków obu zborów. Jeden lekarz wyznania katolickiego (teoretycznie oczywiście) miał ok. 580 ewentualnych pacjentów-katolików, natomiast na jednego lekarza-żyda przypadało średnio ok. 1000 osób wyznania mojżeszowego. Należy zastrzec, iż ludność Warszawy korzystała z porad lekarzy niezależnie od wyznania jednej i drugiej strony, choć i w tym względzie mogła być zależność, istniały bowiem szpitale będące własnością różnych gmin wyznaniowych.

Pracą literacko-dziennikarską parali się głównie katolicy, natomiast zajęcia artystyczne interesowały aż 14% spośród wszystkich ewangelików, których zaliczyliśmy do tego działu zajęć. Wynika z tego, iż ewangelicy proporcjonalnie częściej niż katolicy i mojżeszowi uprawiali tzw. wolne zawody, co łączy się zapewne z dobrymi warunkami materialnymi, stwarzającymi większe możliwości zdobycia wykształcenia, oraz z innymi kryteriami prestiżu zawodów.

TAB. 4. LUDNOŚĆ WARSZAWY W 1882 WEDŁUG ZAJĘĆ UMYSŁOWYCH I WYZNANIA
(w procentach)

Rodzaj zajęcia	Wyznanie		
	EWANGELICKIE	Rzymskokatolickie	Mojżeszowe
Urzędnicy	49,3	61,2	51,2
Sądownictwo	5,7	8,4	2,1
Duchowieństwo i służba kościelna	4,3	3,4	4,7
Zajęcia pedagogiczne	14,1	6,5	29,4
Służba zdrowia	11,9	10,8	8,4
Literatura, prasa	0,7	1,6	0,5
Sztuki piękne	14,0	8,1	3,7
Razem	100,0	100,0	100,0

Źródło: jak tab. 3

Zajmiemy się obecnie dwoma przeciwstawnymi sobie grupami społecznymi: ludźmi, których dobra materialne stawiały w rzędzie osób zamożnych (ziemianie, posesjonaci, przedsiębiorcy przemysłowi i właściciele kamienic) oraz częścią wielkomiejskiej społeczności znajdującej się na jej marginesie — ludźmi ubogimi, żyjącymi z dobroczynności publicznej, mieszkającymi w przytułkach lub nędznych pomieszczeniach (byli wśród nich i bezdomni, ale są oni statystycznie trudno uchwytni). Zbliżali się do nich żebracy (liczba ich trudna jest do ustalenia, gdyż z uwagi na styl życia wymykali się statystycznej rejestracji). Przejawem patologii społecznej była prostytucja (także trudno uchwytna źródłowo).

W grupie zamożnych ewangelików najwięcej osób czerpało dochody z posiadania kamienic i domów czynszowych, pod tym względem tylko nieznacznie ustępowali oni bogatym żydom. Na zbliżonym poziomie kształtowały się proporcje wśród właścicieli zakładów przemysłowych oraz posiadaczy kapitałów bankowych i akcyjnych. Natomiast w posiadaniu majątków ziemskich tylko katolicy wykazywali tak wysoki udział — w większości była to dziedziczna szlachta i arystokracja mieszkająca w Warszawie i utrzymująca się dzięki swym wiejskim posiadłościom. Tylko znikoma część posiadaczy wyznania mojżeszowego czerpała dochody z majątków ziemskich. Podobny, choć nieco wyższy, jest tu wskaźnik dla ewangelików. Świadczy to o tym, iż przedstawiciele obydwu tych wyznań nie szukali zysków w dobrach rolnych. Decydowało o tym albo pochodzenie miejskie (tylko nieliczni ewangelicy związani byli ze stanem szlacheckim), albo całkowity brak tradycji zajęć rustykalnych (żydzi).

Zamożni ewangelicy stanowili 7,5% wszystkich osób tej konfesji, katolicy 5,4%, a wśród wszystkich żydów bogactwo było udziałem 3,7% osób tego wyznania. Największa zamożność charakteryzowała więc ewangelików.

Absolutna większość ubogich ewangelików utrzymywana była z dobroczynności świadczonej w tym wypadku przez charytatywne organizacje wyznaniowe. Jaskrawą różnicę przedstawia pod tym względem ludność mojżeszowa, gdzie w stosunku do całej grupy z marginesu prawie połowa trudniła się żebractwem.

TAB. 5. ZAMOŻNI MIESZKAŃCY WARSZAWY W 1882 WEDŁUG RODZAJÓW DOCHODÓW I WYZNANIA

(w procentach)

Rodzaj dochodów materialnych	Wyznanie		
	EWANGELICKIE	Rzymskokatolickie	Mojżeszowe
Majątki ziemskie	8,2	25,8	2,2
Kamienice — domy dochodowe	52,9	30,8	58,5
Zakłady przemysłowe i kapitały	38,9	43,4	39,3
Razem	100,0	100,0	100,0

Źródło: jak tab. 3.

Ta krótka charakterystyka składu ludności Warszawy w podziale na grupy wyznaniowe ujawnia ich specyfikę jak również i wzajemne podobieństwa. Kilkunastotysięczna rzesza ewangelików warszawskich reprezentowała najwyższy poziom życia społecznego w początkowym okresie przemian wielkokapitalistycznych, jakie dokonywały się na ziemiach polskich. Tempo rozwoju ilościowego było w tej grupie wyznaniowej najwolniejsze, wpływała na to niewielka imigracja (w przeciwieństwie do katolików i żydów), a także — co charakterystyczne dla społeczności, które osiągnęły wyższy poziom cywilizacji — zmniejszona rozrodczość, stosunkowo niewielki procent dzieci, nad którymi miała przewagę grupa osób starszych. Średnia życia wśród ewangelików była najdłuższa, rodziny ewangelickie były o wiele mniej dzietne niż katolickie, a w szczególności żydowskie.

Ewangelicy osiągający, jako całość, wyższy stopień edukacji, proporcjonalnie częściej niż katolicy i żydzi poświęcali się zajęciom wymagającym przygotowania naukowego. W każdym jednak razie zawsze bliżsi byli grupie katolickiej niż mojżeszowej. Z tą pierwszą wykazywali większe analogie na płaszczyźnie zajęć związanych z handlem, sądownictwem, medycyną. Zamożni ewangelicy mniej więcej w takim samym stopniu co katolicy czerpali dochody z tytułu własności przedsiębiorstw przemysłowych. Z grupą mojżeszową natomiast zbliżali się proporcjonalnie w działalności bankowej, również nielicznie jak żydzi zajmowali się literaturą i dziennikarstwem, natomiast prawie identyczny udział obie grupy miały w stanie posiadania majątku przemysłowego.

Ludność wyznania ewangelickiego, obserwowana z punktu widzenia jej składu zawodowego, reprezentowała najlepiej rozwiniętą i o najwłaściwszych proporcjach, w porównaniu z innymi wyznaniami, strukturę społeczną w dobie szybkich zmian kapitalistycznego uprzemysłowienia i urbanizacji.

TAB. 6. OSOBY UBOGIE I Z MARGINESU SPOŁECZNEGO W WARSZAWIE W 1882, WEDŁUG WYZNANIA

(w procentach)

Utrzymujący się z:	Wyznanie		
	EWANGELICKIE	Rzymskokatolickie	Mojżeszowe
Dobroczynności publicznej	73,4	63,0	14,8
Żebractwa	16,6	15,0	47,6
Prostytucji	10,0	22,0	37,6
Razem	100,0	100,0	100,0

O KOŚCIELE

Sesja z okazji 50-lecia „Jednoty"

JEDNOTA — UNITAS FRATRUM — KOŚCIÓŁ

KS. JAN NIEWIECZERZAŁ — Dzisiaj, z okazji 50-lecia „Jednoty", pragnę stwierdzić, że każde pismo kościelne jest powołane do tego, aby uświadamiać nasze społeczeństwo, ale już nie o doktrynalnych zasadach poszczególnych wyznań. Dzisiaj chodzi o to, by społeczeństwo w ogóle wiedziało, czym jest i co to jest Kościół. Spotykamy się z zarzutem, że Kościół zawiódł w przeszłości, że zawodzi jakoby dziś i że właściwie przeżył swoją historię. Absolutnie się z tym nie zgadzam. Wierzę, że tak jak dwa tysiące lat temu Kościół miał swoje zadanie, tak ma je dzisiaj i będzie miał w przyszłości. Chodzi o to, byśmy my, chrześcijanie — podczas pracy i podczas wspólnych spotkań — dostrzegali ten Kościół w jego istocie, jako Kościół Chrystusowy, którego doskonałego oblicza nie widzimy i sądzę, że nie ujrzymy tutaj, na ziemi.

Kiedy ludzie patrzą na Kościół, widzą jego różne postaci i barwy, w których przejawia się w świecie. Raz to będzie, powiedzmy, ewangeliczna prostota, kiedy indziej piękna liturgia, badanie Pisma świętego itd. itd. Ale w tym wszystkim zawsze jest Kościół.

Myślę, że dla „Jednoty" pozostaje w przyszłości właśnie rola krzewiciela przyjaznej współpracy ze wszystkimi czasopismami kościelnymi i ze wszystkimi wyznaniami, ażeby wspólnie szerzyć świadomość, co to jest Kościół, jaka jest rola wyznawcy, jak powinno się uzewnętrzniać życie i działalność chrześcijanina we współczesnym świecie. To są zadania, które dziś przed nami wszystkimi stoją — nie tylko przed czasopismem, ale przed każdym człowiekiem wierzącym. Takiej pracy i wypełnienia wiązanych z nią nadziei życzę „Jednocie" w następnym pięćdziesięcioleciu.

KS. BOGDAN TRANDA — Pomiędzy dzisiejszą uroczystością a naszym tematem istnieje wewnętrzny związek. Nasze czasopismo, jak wiadomo, nosi tytuł „Jednota". Tytuł trochę staroświecki, może mało komunikatywny, bo słowo to nie jest już dzisiaj używane, ale dobrze się stało, że tytuł taki został zachowany, gdyż „Jednota" to polskie, czy raczej słowiańskie, tłumaczenie łacińskiego *unitas fratrum*, czyli jednota braci, a więc po prostu: Kościół. W słowie tym zawiera się jeszcze szersze skojarzenie, ekumeniczne — brzmi w nim melodia jedności.

Chciałbym zagaić dzisiejszą dyskusję kilkoma słowami komentarza do jednej z najstarszych definicji Kościoła, sformułowanej w nicejsko-konstantynopolitańskim wyznaniu wiary: *credo unam sanctam catholicam et apostolicam ecclesiam*, wierzę w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół. (Kiedy mówimy: wierzę w Kościół, to mamy na myśli coś innego, niż gdy mówimy: wierzę w Boga. Tę różnicę wyraźnie zresztą uwypukla tekst łaciński).

Otóż symbol ten stwierdza przede wszystkim, że K o ś c i ó ł j e s t j e d e n, tak jak jeden jest Bóg, jeden Chrystus, jeden Duch Święty. Jeśli Kościół jest Ciałem Chrystusowym na ziemi, to może istnieć tylko jeden Kościół. Światowa Rada Ekumeniczna nazywa się „ekumeniczna" — po francusku, ale w wielu innych językach nosi nazwę Światowa Rada Kościołów. Z tego punktu widzenia, o którym tu mówimy, druga nazwa jest niesłuszna. Niestety, tym jednym słowem wyrażamy wiele różnych pojęć. Gdy mówimy „kościół", mamy na myśli budynek, świątynię, a także i to, co my, ewangelicy, nazywamy zborem, mamy też na myśli organizację kościelną, a i wszystkich wierzących chrześcijan. (Pytanie tylko, czy wszystkich ludzi ochrzczonych? To pytanie jest bardzo ważne, gdyż wiadomo, że istnieje dziś wielu ludzi ochrzonych, którzy w Kościele nie są i z własnej woli się z niego wyłączyli.) Dalej rozróżniamy Kościół tryumfujący w niebie i walczący na ziemi, Kościół starego i nowego Przymierza, Kościół widzialny i niewidzialny. To wyróżnienie nie może jednak prowadzić do złamania jedności, bo zawsze chodzi o jeden i ten sam Kościół. W przypadku, gdy mówimy: Kościół widzialny i niewidzialny, musimy wyraźnie sobie uświadomić, że chodzi tu tylko o różne określenia tego samego podmiotu.

Według Lutra Kościół jest matką, która wydaje na świat każdego chrześcijanina, dźwiga go Słowem Bożym, które głosi, i wciela w czyn to Słowo, które oświeca i zapala serca. Kalwin mówi, że oddzielać się od Kościoła, to ni mniej ni więcej jak odrzucać Boga i Chrystusa.

Jedność Kościoła jest więc dla nas wszystkich chyba wartością absolutnie niezbywalną.

K o ś c i ó ł j e s t ś w i ę t y — mówi symbol. Co to znaczy? Spróbujmy sobie odpowiedzieć, jak my dzisiaj mamy rozumieć pojęcie świętości. Biblijne, starotestamentowe pojęcie *kadosz* oznacza inność, odrębność. Kiedy cherubiny śpiewają na cześć Boga: *Kadosz, kadosz Jahwe sebact*, to w tym słowie zawarty jest pierwiastek całkowitej inności Boga. Karol Barth właśnie tak mocno podkreślał, że Bóg jest Bogiem, a człowiek człowiekiem. Kościół też jest święty, ale nie w taki sposób jak Bóg. Świętość Kościoła jest mu niejako przez Boga ofiarowana; Kościół jest zasadniczo różny od każdej innej instytucji czy wspólnoty i jakkolwiek przybiera formę i kształt instytucji, zjawiska empirycznego, socjologicznego, które upodabnia go do wielu instytucji, to z charakteru swego, jako powołany przez Boga, ma zupełnie odrębną istotę.

Do świętości Kościoła należy zasadnicza nieomylność i trwałość. Kościół jako całość, jako wspólnota wierzących, nie myli się *in fundamento fidei*, w zasadniczych kwestiach. Nie myli się, choć składa się z grzesznych ludzi. Kościół to my. Kościół to nie idea platońska, lecz konkretne zjawisko tu, na ziemi, wśród ludzi. My, tutaj, w tej chwili zebrani, jesteśmy Kościołem.

K o ś c i ó ł j e s t p o w s z e c h n y. Pojęcie powszechności, to *ecclesia catholica*, jest pojęciem szerszym niż wspólnota — rasowa, językowa, kulturowa, państwowa, klasowa — co nie znaczy, że Kościół jest ponad tymi wszystkimi zjawiskami. Przymiotnikowi „powszechny" nie nadajemy znaczenia ilościowego i mechanicznego, tylko jakościowe i duchowe, czyli że powszechność oznacza potencjalną możliwość,

a nie liczbową większość: Kościół jest otwarty dla wszystkich.

Powszechność jest cechą, która w naszej dyskusji może się okazać bardzo potrzebna, bo w ramach powszechności Kościoła należy chyba rozpatrywać różnorodność, bogactwo wyrazu, sformułowań i sposobów oddawania czci Bogu.

Kościół jest wreszcie, według naszego symbolu, apostolski, to znaczy, że w swym życiu i działaniu opiera się na normatywnym świadectwie apostołów, do którego stale się odwołuje. W Kościele istnieje ciągłość tego, co nazywamy nauką apostolską, dzięki jej spisaniu i utrwaleniu w Piśmie świętym Nowego Testamentu. Ciągłość apostolska i wierność apostolskiej tradycji jest bardzo mocno podkreślana przez wszystkie wyznania chrześcijańskie.

Nasunęła mi się kiedyś pewna refleksja, bardziej może etymologiczna niż historyczna czy teologiczna, związana z pojęciem „Kościół apostolski". Po grecku *apostello* — znaczy posyłam, czyli: wierzę w Kościół, który jest posłany, ma swoje zadanie do wykonania i pełni określoną rolę wśród ludzi, wierzę w Kościół, który przez Jezusa Chrystusa został spośród świata wybrany i do świata znowu posłany.

Sprawy, które tu poruszyłem, są dość oczywiste i — mam wrażenie — stanowią naszą wspólną bazę, wszak wzięte zostały z symbolu uznawanego przez wszystkich chrześcijan. Ale przecież jest wiele spraw, które nas różnią w pojmowaniu Kościoła. W naszych wspólnotach wyznaniowych właśnie problem eklezjologii jest chyba najtrudniejszy do uzgodnienia. Bo stosunkowo łatwo dojść do porozumienia w kwestiach podstawowych, ale zaraz za nimi idą te szczegółowe, jak na przykład sukcesja apostolska, prymat Piotra, ordynacja duchownych itd. itd.

Konkludując, chciałbym przeczytać kilka zdań, których autorem jest Karol Barth, a pod którymi chcę się całkowicie podpisać:

„Wierzę, że Kościół jest miejscem, gdzie oddaje się cześć Bogu. Dlatego Kościół, choć jest instrumentem łaski, musi unikać oddawania sobie czci boskiej. Wierzę, że Kościół został założony przez Boga, dlatego nie może on być pałacem lecz raczej chatą Boga wśród ludzi aż do końca świata. Wierzę, że Kościół jest wspólnotą ludzi, a więc grzeszników, wybranych i powołanych przez Boga, grzeszników, którzy jako wspólnota świętych albo społeczność świętych, jako głosiciele i słuchacze Słowa Bożego, jako lud Boży na ziemi — chcą żyć Bożym miłosierdziem aż do chwili objawienie się Królestwa chwały, gdzie to wszystko, co przemija, przemieni się w to, co nie przemija, ponieważ tutaj to, co jest siane w słabości, zmartwychwstanie w mocy".

DOŚWIADCZENIE — WIARA — KOŚCIÓŁ

JAROSŁAW ŚWIDERSKI — Przed paru laty, w nieco jednak innym gronie, dyskutowaliśmy nad pojęciem „Kościół". Otóż wówczas łączyliśmy bardzo silnie to słowo ze słowem „wierzę" i doszliśmy do wręcz odwrotnego żdania niż w tej chwili Ksiądz Redaktor, mianowicie — że nie istnieje zasadnicza różnica między sformułowaniem „wierzę w Boga", a „wierzę w Kościół", tylko że to oznacza zupełnie to samo. Z czego to się wzięło? Z samej definicji pojęcia wiary. Przypomnę króciutko, że odróżnialiśmy wtedy dwa pojęcia: wierzę komuś lub wierzę czemuś (co oyło odpowiednikiem: jestem pewien, że mówisz prawdę, lub — jestem pewien, że tak jest) i — wierzę w coś, co jest skrótem myślowym od słów — wierzę, że jest coś, czyli — jestem pewien, że istnieje. Wierzę — znaczy: jestem pewien, że istnieje. W takim samym stopniu wierzę w Boga, jestem pewien Jego istnienia, jak wierzę w Kościół — jestem pewien jego istnienia. Wydaje mi się, że to nasze ówczesne stwierdzenie było zaprzeczeniem stwierdzenia Bartha, w szczególności w tym punkcie, gdy mówi on, że Kościół musi zwracać uwagę na to, aby nie być czczonym, aby nie otrzymywać atrybutów boskości.

Może to zakrawać na niebezpieczne stwierdzenie, ale samo Pismo święte wielokrotnie nam mówi, że Kościół jako Ciało Chrystusowe, Kościół jako społeczność tych, którzy synami Bożymi nazywani będą — czy już są — że taki Kościół jest formą przejawiania się Boga na ziemi. W tym sensie Kościół jest przedmiotem czci, a przede wszystkim miłości, jako jedyna społeczność, z którą wierzący muszą się identyfikować i być jego częścią.

Dalej rozumowaliśmy tak. Jak to? Ty, ja, on — wszyscy jesteśmy formą, w której przejawia się Bóg? My jesteśmy tym czczonym Kościołem? I wtedy zaczęliśmy mówić o tym, że każdy wierzący ma chwile, kiedy jest cząstką Kościoła, i chwile, w których nią nie jest. Przypomina wówczas lampkę pod napięciem, która może się zapalić i wtedy będzie działać jak narzędzie Boga, ale może być tylko rezerwą, która znajduje się pod napięciem lecz nie świeci, a może być w ogóle odłączona — z takich czy innych powodów — od wspólnego napięcia. Stąd powstała wizja Kościoła jako świecących się na zmianę i pulsujących świateł, razem tworzących pewną określoną jasność, co nie znaczy jednak, że każde z tych światełek świeci w tym samym czasie. Przy takiej koncepcji było i jest dla nas oczywiste, że Kościół może być tylko jeden.

STANISŁAWA GRABSKA — Chciałabym nawiązać w pojmowaniu Kościoła do Królestwa Bożego, które jest nam obiecane, jest blisko, nadchodzi i już jest w nas. Królestwo Boże i Kościół to jest to samo. Jeśli mówię: wierzę w Kościół, to rozumiem, że wierzę w ten Kościół Chrystusowy, który jest w eschatologii i który nadchodzi (przez nasze posuwanie się ku niemu) i który jest w nas. To „jest w nas" można rozumieć jednostkowo i społecznie: gdzie dwaj lub trzej zgromadzeni są w Imię moje. Kościół więc, to zgromadzenie wierzących, skupionych wokół Jezusa Chrystusa.

Pierwszym moim przejściem od zjawiska Kościoła doświadczalnego, praktycznego, socjologicznego — od tego, co nazywamy organizacją, jest przejście do Kościoła lokalnego, zgromadzonego dookoła Eucharystii i „stającego się" przez Eucharystię. W takim samym stopniu mogę powiedzieć, że wierzę w człowieka, jak wierzę w ten Kościół realizujący się we wspólnocie ludzkiej. Przy czym nie zgadzam się, że „wierzę" oznacza tylko „jestem pewien". Wierzę — oznacza dla mnie: jestem pewien nie na zasadzie doświadczenia, ale objawienia, jestem pewien rzeczywistości, która jest Tajemnicą, której nie dotykam, rzeczywistości, której pozór może całkowicie przeczyć, a mimo to ja wierzę, że ona istnieje. Wierzę, że każdy Kościół lokalny realizuje Kościół eschatologiczny, a Kościół eschatologiczny nadchodzi w realizującym się Kościele lokalnym.

Mówimy: wierzę w Kościół jeden, święty, powszechny i apostolski. Powszechność dla mnie to różnorodność, wielość — osób, kultur, Kościołów lokalnych — jedność w wielości, której wyrazem jest nasze usiłowanie, by lokalne Kościoły, mające tak różną formę, stanowiły jedność widzialną.

Gdy mówimy o jedności w wielości — uznając Kościoły lokalne i wierząc w naszą drogę poprzez Kościół eschatologiczny, który nadchodzi — musimy sobie zdawać sprawę z istnienia grzechu podziału. Ten grzech wynika z chęci uniformizacji. Nie wielość jest grzechem, lecz chęć utożsamienia jednej konkretnej formy z jedyną formą wcielania się w życie Kościoła Chrystusowego.

JAROSŁAW ŚWIDERSKI — Wiara jest pewnością zdobytą na drodze doświadczalnej. Wyłącznie! Użyła Pani słowa-klucza: „objawić". Objawić, tj. dać poznać, dostarczyć wiarygodnej informacji. Można to osiągnąć dwoma drogami: przez doświadczenie bezpośrednie albo pośrednie. Na podstawie mojego doświadczenia wierzę danej osobie, że mówi prawdę. Dzięki temu (na zasadzie doświadczenia) przyjmuję do wierzenia to, co mi powiedziała ta osoba, Pismo itd. Sądzę, że chociaż mówimy tu o Kościele, wyjaśnienie sobie, co to jest wiara, ma fundamentalne znaczenie w naszej dyskusji, i dobrze byłoby spróbować podzielić się opiniami na temat tego słowa.

STANISŁAWA GRABSKA — O ile dodamy, że wiara jest doświadczeniem mistycznym, doświadczeniem Ducha Świętego w nas — zgodzę się.

KS. MANFRED UGLORZ — Dla ludzi wiary najważniejsza jest analiza biblijna pojęcia wiary. Wiara jest rzuceniem się w przepaść. Jest to oczywiście sformułowanie skrótowe i — jak każde takie — dyskusyjne.

MARIA SKIERSKA — Sądzę, że można wierzyć na podstawie doświadczenia, ale sam akt wiary jest rzeczą absolutnie emocjonalną i nieintelektualną.

JAN ANCHIMIUK — Przy koncepcji wiary wypływającej z doświadczenia, co zrobić z problemem niewiary, ateizmu?

STANISŁAWA GRABSKA — Pan Jezus powiedział, że tym, którzy do Niego przychodzą — dane to zostało od Ojca. Obawiam się, aby nie zgubić w dyskusji tego momentu, że uwierzenie jest darem od Boga, darem Ducha Świętego, który daje nam inny wzrok, inny sposób odbierania doświadczenia.

CZYM JEST DLA MNIE KOŚCIÓŁ?

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER — Sam temat — Kościół — postawiony w naszym tak bliskim sobie, a jednocześnie tak zróżnicowanym gronie, jest czymś niesłychanie pasjonującym i wiele chciałoby się o tym powiedzieć. Ograniczę się jednak do odpowiedzi na pytanie, postawione tak osobiście w liście zapraszającym: — Czym d l a n a s jest Kościół Chrystusowy?

Zastanawiałem się długo, czy umiem odpowiedzieć, czym jest d l a m n i e mój Kościół, Kościół Chrystusowy, w moim przypadku — katolicki. To kłopotliwe pytanie zdradza, jak rzadko my, chrześcijanie, stawiamy sobie takie osobiste pytania, które nie każą się odwoływać do definicji katechizmowych czy też do potocznego, przyjętego przez ogół mniemania, ale zmuszają do szukania odpowiedzi w sobie.

Kościół dla mnie to cała żywa tradycja chrześcijańska, dzięki której ja dzisiaj mogę komunikować się z Jezusem Chrystusem i przeżywać aktualny z Nim związek. Jak to się dzieje, że mogę spontanicznie zwracać się do Pana Jezusa, jak do kogoś tu obecnego, że mogę czuć się związany z tajemnicą Jego wcielenia, śmierci i zmartwychwstania, że to są dla mnie sprawy bliskie, dzisiejsze, że czuję się w mej wierze nie tyle spadkobiercą kogoś, kto głosił pewne poglądy — choćby szczytne — w przeszłości, ale mam świadomość bliskości Chrystusa, Boga, jako faktu egzystencjalnego, mnie danego. To właśnie dał mi Kościół — to wszystko, co mnie w tę bliskość do Chrystusa wprowadza i daje z Nim łączność.

Na czym polega żywa tradycja, którą nazywam Kościołem? Są to bardzo zróżnicowane sprawy, o których można już mówić w kategoriach historycznych, bo w moim odbiorze one się zmieniały w zależności od przemian, jakie zachodziły i zachodzą w Kościele. I tak na przykład, gdy Kościół mój, tj. katolicki, był bardziej instytucjonalny, to ja być może przeżywałem te instytucjonalne momenty jako niosące żywy kontakt z Chrystusem. Dzisiaj zwracam większą uwagę na inne elementy.

Co mi dał Kościół? To, że Pismo św. mam i czytam jak dzisiejszą księgę, bo wszyscy wierzący mi to przekazali — ucząc mnie, dzieląc się swoimi refleksjami, uprzytomniając mi fakt, że Ewangelia mówi o sprawach, które się dzieją i nie są martwą literą. Tego nauczył mnie Kościół przez ludzi.

Są w życiu momenty ludzkiego spotkania, przysługi doznanej od innych czy komuś wyświadczonej. I wtedy, w takim kontakcie miłości — czuję się bliski Ewangelii, Jezusowi, Kościołowi. Także wtedy, gdy można wspólnie się modlić, rozmawiać o Chrystusie i Kościele jako o rzeczach ważnych, zasadniczych, które są rzeczywistością — to też jest zasługa Kościoła. A szczególnie bliskie jest mi w Kościele to, że ufamy, iż Bóg, który rozpoczął swe dzieło, doprowadzi je do końca. Ta ufność odnosi się i do Kościoła, i do mnie osobiście.

JAN ANCHIMIUK — Na co dzień nie zastanawiamy się, czym dla nas jest Kościół, bowiem jest on życiem, a żyjąc nie myślimy np. o tym, że oddychamy. Dopiero gdy brak nam powietrza lub jest ono zatrute — budzi się refleksja. Podobnie i w Kościele.

Właściwie nie ma definicji Kościoła. Jedyne przybliżenie, to słowa Pawła o Ciele Chrystusowym. Jest to wizja, która musi znaleźć urzeczywistnienie w życiu. Rzecz w tym, w jaki sposób wizja ta jest realizowana w historii, wizja Kościoła, który nie jest z tego świata, jakkolwiek w tym świecie tkwi. Sądzę, że dążenie do zrealizowania Kościoła jest zadaniem przed nami postawionym i dlatego nie bez znaczenia pozostaje to, co ludzie w Kościele robią, jaką formę nadają owej wizji. Moim zdaniem nasz świat jest w równym stopniu określony przez Boga, co przez człowieka, i nie ma w nim miejsca na determinizm. Zwróćmy uwagę, że chrześcijaństwo zwalczyło gnostycyzm i wszelkie kierunki, które — choćby tylko subtelnie — negowały wartość człowieka jako istoty materialno-duchowej.

JAROSŁAW ŚWIDERSKI — Zgadzam się z Panem, że człowiek ma w tym świecie olbrzymią rolę do wypełnienia, ale — moim zdaniem — nie zdeterminowany jest tylko w jednym punkcie, mianowicie — że ma prawo zgodzić się z Bogiem lub Mu się przeciwstawić. Ja mam też swój model Kościoła. Świat to wagonik kolejki w lunaparku, doskonale zdeterminowanej drogą, jaką dla niej przewidział Konstruktor. Ludzie zaś

to dzieci, pasażerowie kolejki, a przed nimi są dwie możliwości: zgodzić się z Konstruktorem (jak dzieci, co cieszą się i krzyczą z radości siedząc w wagoniku), albo nie (jak dzieci, co płaczą i krzyczą ze strachu). Zadaniem tych, co się cieszą (Kościoła), jest uświadomić przerażonym sens tego, co się dzieje, fakt, że wszystko pomyślane zostało dla ich szczęścia i radości, a nie dla pognębienia.

JAN ANCHIMIUK — Protestuję. Przy takiej koncepcji absolutnie niewytłumaczalny staje się sens istnienia świata, grzechu, Kościoła itd., itd. Atakuję wagonik i linię kolejową, która gdzieś prowadzi, a ja nie mam wpływu na jej bieg. Wiem, że mam taki wpływ i ode mnie zależy, czy świat przeżyje czy nie. Ja buduję wagonik i mam zadanie ukształtowania świata, więcej — nawet tworzenia go!

KS. MANFRED UGLORZ — Wróćmy jeszcze do słowa „wierzę". Sądzę, że chodzi w nim o to, by objawienie ujmować w formie wyznania. Przecież cały Nowy Testament jest formą wyznania, a i Kościół realizuje się w formie wyznania. Może więc nasza rozmowa o Kościele także powinna być wyznaniem, bo ona pozwala działać Duchowi Świętemu w nas i przez nas.

KONSTANTY WIAZOWSKI — Na wstępie dwa słowa na temat wiary wypływającej z doświadczenia i obaw Pana Anchimiuka, co przy takiej koncepcji zrobić z problemem ateizmu. Na podstawie Pisma św. wiemy, że człowiek może powiedzieć Bogu „tak" lub „nie". Otóż człowiekowi niewierzącemu, który — choćby miał setki pozytywnych doświadczeń — uparcie będzie mówił Bogu „nie", Stwórca pozwoli zostać niewierzącym aż do końca. Natomiast z człowiekiem szukającym, otwartym, Bóg współpracuje i udziela mu wiary. Bóg i człowiek stają się partnerami.

Kościół dla mnie to przede wszystkim społeczność ludzi odkupionych przez Jezusa i posłanych do wypełnienia określonych zadań. Jeśli ich nie wypełnia, przestaje być Kościołem. Obraz Kościoła jest więc dynamiczny właśnie przez to zadanie. Organizacja, o ile nadaje ton zadaniu, należy do Kościoła, jeżeli jednak hamuje dynamizm społeczności — staje się przeciwna i Kościołowi, i Bogu. Kościół to społeczność ludzi przemienionych wewnętrznie, żyjących wiarą, wiedzących czego chcą i umiejących iść w ciemno, jak Abraham. Kościół jako Ciało Chrystusowe zawiera w sobie dwa elementy — ludzki i boski, podobnie jak Jezus Chrystus miał dwie natury. Kościół Chrystusowy nie zacieśnia się do jednej denominacji lub organizacji nazywającej siebie Kościołem. To społeczność ludzi różnych wyznań, ludzi połączonych bardziej może z Bogiem niż ze swoim Kościołem, bardziej wiernych Chrystusowi niż organizacji.

WIESŁAW CELIŃSKI — Co to znaczy dla mnie, że Kościół jest jeden, święty i apostolski? Powiem krótko: jest to moja pewność i wiara, że niezależnie od tego, jak spodli się cały świat, tu zawsze będą ludzie autentycznie uczciwi, tu zawsze znajdą się tacy, którzy podejmą dzieło uczniów Jezusa.

ŹLE I DOBRZE O INSTYTUCJI

ROMAN LIPIŃSKI — Gdy formułujemy ogólne definicje Kościoła, wszyscy się ze sobą zgadzamy. Przynajmniej w tym gronie. Tymczasem bardzo często mamy do czynienia z ludźmi, którzy uważając się za chrześcijan nie chcą podpisać się nawet pod najoczywistszymi dla nas sformułowaniami i nie należą do żadnej społeczności, bo twierdzą, że Kościół nic im nie daje.

STANISŁAWA GRABSKA — Mam podobne, co Pan, doświadczenia. Jedno, co mogę zrobić dla mych przyjaciół, którzy nie chcą być w Kościele instytucjonalnym, to trwać z nimi we wspólnocie, gdyż każda wspólnota ludzka zgromadzona w imieniu Jezusa jest Kościołem. Często nie ciągnę ich do środka instytucji, zdając sobie sprawę z realności ich oporów i z tego, jak brzydko się ta instytucja z zewnątrz przedstawia. Kościoły-organizacje ponoszą odpowiedzialność za to, że twarz, którą pokazujemy, odstrasza. Naszym zadaniem, jak powiedział to Pan Anchimiuk, jest tworzyć taki kształt Kościoła, który byłby zrealizowaniem jedności z Chrystusem. A wtedy będzie to dla ludzi doświadczenie przekonywujące, a nie — odstraszające.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER — Kilka słów w obronie instytucji. Dla mnie Kościół widzialny i niewidzialny to jest jedna rzeczywistość. Nie ma niewidzialności bez widzialności i widzialności bez niewidzialności, podobnie jak nie ma człowieka tylko duchowego bez cielesnego.

Instytucja to dla mnie nie tylko tzw. baza, czyli posługi. Owszem, one także, ale instytucja to wyznanie wiary, to liturgia, to Eucharystia, to Pismo św. i jego czytanie. Musimy to wszystko brać pod uwagę. Nawet nasze dzisiejsze spotkanie jest zasługą instytucji — „Jednoty" i Kościoła reformowanego. Bez instytucji gdzie by się podziała cała nasza dynamika duchowa? A że instytucja jest poniekąd „brzydka"...? No cóż, bywa brzydka! Nawet liturgia, która jest taka „ładna", też musi być reformowana, gdyż podobnie jak wszystkie inne dziedziny życia kościelnego, wymaga odnowy. Instytucja we wszystkich przejawach swoich jest ułomna, jak nasze duchowe pragnienia i ich realizacja, jak nasza miłość, jak nasza duchowa dynamika — ułomne i skalane grzechem, ale to cecha czasu ziemskiego. Dopiero w eschatologii będzie inaczej — instytucja przestanie być potrzebna. Ja wierzę w Kościół-instytucję, która fundamentalnie mnie nie zawiedzie, w Kościół nieomylny w swej całości.

KS. JAN GROSS — Instytucja powinna zawsze służyć sprawie Ewangelii. To jest podstawa dynamizmu i siły Kościoła. Pamiętajmy jednak, że Kościół to — jak określił go prof. Hromadka — społeczność kulawych pielgrzymów, w drodze.

KONSTANTY WIAZOWSKI — Mamy jednak pamiętać i o wymaganiach, jakie Kościół stawia tym, którzy w nim są. Kościół, który przybiera „brzydką" twarz, przestaje być Kościołem. Ludzie muszą widzieć piękną twarz Kościoła, twarz zapatrzoną w Chrystusa.

WIDZIALNY — NIEWIDZIALNY. CZY TEN SAM ZAKRES?

KS. JERZY STAHL — Nawiązując do wypowiedzi ks. Zuberbiera o Kościele widzialnym i niewidzialnym jako o tej samej rzeczywistości czy dwóch stronach jednego medalu, chciałbym zapytać, czy rzeczywiście możemy traktować Kościół widzialny i niewidzialny w jednakowych zakresach? W tym celu musielibyśmy zdefiniować, co rozumiemy pod pojęciem „Kościół widzialny". Ja osobiście sądzę, że widzialny Kościół ma nieco inny zakres niż niewidzialny.

KONSTANTY WIAZOWSKI — Ja czuję podobnie. To nie jest ten sam zakres.

STANISŁAWA GRABSKA — „Widzialny" i „niewidzialny" należą do kontrowersyjnego dawniej pojęcia, różniącego katolików i ewangelików. Dziś ta nomenklatura jest, moim zdaniem, przestarzała, bo nie chwyta rzeczywistości. Kościół — złożony z Chrystusa i ludzi — jest i widzialny, i niewidzialny, ponieważ gdzie jest człowiek, tam jest strona widzialna i niewidzialna. I w tym sensie jest to ten sam zakres, zwłaszcza gdy przez Kościół rozumiemy całą ludzkość. Osobiście jednak wolę termin „instytucja" — na określenie organizacji kościelnej, oraz „Kościół" — na określenie tego, co jest w nas i co nadchodzi, na określenie drogi wiodącej do spotkania z Bogiem, w czym instytucja ma do wypełnienia swe historyczne zadanie, ale w tym sensie nie będą to dwie strony tego samego medalu.

KS. BOGDAN TRANDA — Wypowiedź ks. Jerzego Stahla, choć adresowana do ks. Zuberbiera, skierowana jest do mnie. My, reformowani, utożsamiamy bowiem Kościół widzialny z instytucją. Ja jednak widzę to inaczej. Kościół widzialny — to ludzie, którzy przyznają się do Chrystusa, wyznają swą wiarę, manifestując ją przez fakt bycia w Kościele. Kościół to także nasze zgromadzenie, to każdy zbór, grupa słuchających Słowa i emanujących je, trwających w posłuszeństwie Bogu. Jest to rzeczywistość widzialna, tożsama z niewidzialną. Gdy mówię o Kościele niewidzialnym i widzialnym, mam na myśli jeden Kościół, bo Kościół Jezusa Chrystusa jest jednym zjawiskiem i to nie tylko w wymiarze czasowo-poziomym, ale i czasowo-pionowym. Ci, co umarli, nie wyłączyli się ze wspólnoty Kościoła. Chyba że przed nami jest tylko ciemny grób. Tak rozumiem jedność Kościoła widzialnego i niewidzialnego.

KS. MANFRED UGLORZ — Sformułowanie „Kościół widzialny" i „niewidzialny" jest pochodzenia reformowanego, przyjęte później przez ortodoksję luterską. Istnieje jednak zasadnicza różnica pomiędzy poglądem reformowanym a luterańskim (w historycznym wymiarze). Według reformowanych (tak przynajmniej było) niewidzialny i widzialny Kościół się nakłada, pozostawiając wolne pola. W luteranizmie — Kościół niewidzialny był wewnątrz widzialnego. Ale te sformułowania niezbyt dobrze pasują do pierwotnej myśli Lutra, który używał sformułowania *Comunio sanctorum*. Kościół „ukryty" uzewnętrzniał się przez znaki — Ewangelię, sakramenty, modlitwę, przez wszystkie przejawy duchowego życia społeczności. Kościół rzymskokatolicki kiedyś w ogóle nie używał tych pojęć. Jeśli dziś mówi się o „widzialnym" i „niewidzialnym" Kościele, jest to skutek dialogu z protestantyzmem.

JAN ANCHIMIUK — Kilka razy powracała tu myśl na temat zakresu i granic Kościoła. Chciałbym przypomnieć zebranym niebezpieczeństwo, które na nas czyha. Naród wybrany w czasach Chrystusa tego niebezpieczeństwa nie zauważył i chyba my też go nie zauważamy. Chodzi o pychę. Tak bardzo jesteśmy pewni swojego chrześcijaństwa i przynależności do Kościoła, że zupełnie zapominamy o fakcie, że Chrystus nikogo tak nie skarcił i dla nikogo nie miał takich słów surowych, jak dla faryzeuszy, uczonych w Piśmie i zwierzchników narodu. — Mówiąc językiem dzisiejszym: biskupów, księży i teologów. Czy my, chrześcijanie, nie powtarzamy przypadkiem losu i błędów Izraela? Pamiętajmy, że pewne zjawiska powtarzają się w historii i czy to nie Apokalipsa mówi o 144 tysiącach sprawiedliwych?

KS. BOGDAN TRANDA — Będziemy się z tymi rzeczami łamać bez końca, bo ich nie możemy zobaczyć w całej ich wielkości. Kościół jest Tajemnicą, jako odbicie Bożej rzeczywistości, i w warunkach ziemskich oglądać go w pełnym blasku nie możemy, bo byśmy chyba spłonęli.

Nie doszliśmy dziś do wniosków i uzgodnień. Oczywiście, że nie. Może uda nam się kiedyś przeżyć w tej grupie coś z istoty Kościoła: jego widzialną jedność, gdzie nikt nikogo o metrykę nie pyta, za nic nie potępia, kto ma coś do ofiarowania, ofiarowuje to — chrześcijanin chrześcijaninowi, brat bratu.

Może te myśli, które padły dzisiaj, coś nam otworzą, pozwolą lepiej zrozumieć rzeczywistość, w której żyjemy i którą jesteśmy, otworzą oczy na niepojętą Rzeczywistość, jaką jest Bóg, pozwolą zrozumieć, jak wobec Niego wszyscy jesteśmy niedoskonali, pozwolą zrozumieć, że to, co ograniczone, nie jest w stanie pomieścić w sobie nieskończoności.

Oprac. **BARBARA STAHL**

HENRYK KALWARYJSKI

Osiem grzechów śmiertelnych cywilizowanej ludzkości

Konrad Lorenz, znakomity biolog, laureat nagrody Nobla w 1973 r., wydał niedawno niedużych rozmiarów książkę *, której treść określił jako jeremiadę, bardziej stosowną dla kaznodziei niż dla badacza przyrody. Do opublikowania tych „kazań" skłoniło Lorenza przeświadczenie, że żyjemy w czasie, kiedy pewne niebezpieczeństwa zagrażające ludzkości stały się dla biologa szczególnie wyraźne, gdyż „śmiertelne grzechy cywilizowanej ludzkości" — jak nazywa je autor — są skutkiem zaburzeń w funkcjonowaniu żywych układów.

Lorenz nie jest behawiorystą. Reprezentuje nową gałąź nauki, etologię, tj. naukę o zachowaniu się żywych organizmów. Analiza organicznych układów (systemów), od których zależy zachowanie się człowieka, jest według autora najtrudniejszym a zarazem najbardziej ambitnym zadaniem, przed jakim staje nauka o przyrodzie. Jest to zadanie trudne lecz nie nierozwiązalne.

Kluczem do rozwiązania problemu są zjawiska patologiczne, powstałe w systemie organicznym. Liczne są przykłady, kiedy wadliwe funkcjonowanie ważnego dla życia organu doprowadziło fizjologów do wyjaśnienia normalnej funkcji tego organizmu. Dlatego też Lorenz, dając opis zjawisk patologicznych w życiu społecznym, wyraził przekonanie, iż w ten sposób pobudzi myślących ludzi do działania w kierunku uzdrowienia chorego organizmu społecznego.

Tok rozumowania Lorenza jest następujący.

Podstawową właściwością strukturalną wszystkich wyższych systemów organicznych jest dążność do utrzymania równowagi danego ukła-

du, czyli homoestazy. Utrzymaniem równowagi układu rządzi prawo sprzężenia zwrotnego. Najmniejsze zwiększenie oddziaływania jednego czynnika na pozostałe elementy układu powoduje wybujanie wszystkich funkcji układu, zaś najmniejsze obniżenie funkcji jednego czynnika prowadzi do gwałtownego spadku aktywności reszty składników układu. W obydwu wypadkach mamy do czynienia ze zjawiskami patologicznymi.

W przyrodzie żywej istnieją niezliczone kręgi, tworzące układy równowagi niezbędne dla utrzymania życia. W niekorzystnych warunkach hipertrofia lub zanik cząstkowych funkcji uniemożliwia powrót do równowagi układu (w razie jej zwichnięcia) i wtedy następuje katastrofa. Dalsze swe wywody poświęca Lorenz już zaburzeniom równowagi w układach społecznych.

Lorenz nie jest wyjątkiem pośród biologów (przez co rozumie się także lekarzy), którzy występują z ostrzeżeniami skierowanymi do „cywilizowanej ludzkości", by wspomnieć choćby Ericha Fromma, René Dubosa czy Wilhelma Reicha. Jego książka jest alarmem, który powinien obudzić czujność. Nie można jej zaliczyć do literatury katastroficznej (jak np. „Szok przyszłości" Tofflera czy słynny I Raport rzymski). Lorenz poddał analizie osiem zjawisk, które noszą w sobie znamiona upadku.

1. Przeludnienie globu ziemskiego, które — niezależnie od konsekwencji ekonomicznych — zmusza poszczególne jednostki do nieludzkiego sposobu obrony przed nadmiernymi kontaktami z innymi ludźmi, co wyraża się wzmożoną agresywnością, utrudniającą współdziałanie z innymi.

2. Niszczenie środowiska naturalnego prowadzi nie tylko do szkód materialnych, lecz oddziaływa zgubnie na uczucie szacunku dla wielkości i piękna przyrody, a tym samym zuboża psychikę człowieka.

3. Szalona konkurencja, podsycana przez rozwój technologii, i gonitwa za pieniądzem czyni ludzi ślepymi na istotne wartości kulturowe. Pod naciskiem walki konkurencyjnej wszystko co dobre i pożyteczne dla ludzkości — jako całości i jako jednostek — zostaje zapomniane. Autor wskazuje na patologiczną gonitwę za nowością, co się łączy z zupełną obojętnością wobec nabytych przedmiotów, kiedy te przestają — i to w krótkim czasie — być modne. Tę gonitwę za nowością Lorenz nazwał neofilią, tzn. chorobą nowości. (Na zjawisko to zwrócił uwagę Erich Fromm w książce *The Sane Society*, nie przełożonej dotychczas w Polsce). Obojętność wobec przedmiotów martwych, a nawet wobec zwierząt domowych, prowadzi do zobojętnienia wobec innych ludzi, wobec wspólnoty społecznej jako całości.

4. Zanik wszelkich silnych uczuć i afektów wskutek postępującej zniewieściałości. Postępy w zakresie technologii oraz farmakologii wzmagają nietolerancję wobec wszystkiego co jest odczuwane jako przykrość. To powoduje zanik zdolności człowieka do odczuwania radości, jaka normalnie pojawia się wraz z pokonaniem trudności wymagającej wysiłku. Wydaje się, dodaje Lorenz, że ludzie zapomnieli, czym jest radość, i zastąpili ją słowem rozkosz. W rezultacie naturalne falowanie kontrastów — cierpienia i radości — zostało spłycone i sprowadzone do nieokreślonej nudy.

5. Dekadencja genetyczna. Autor zwraca uwagę na szerzące się objawy infantylizmu. Przejawia się on m. in. w hipertrofii podstawowych instynktów, tj. w zaspokajaniu głodu i popędu seksualnego. Chodzi tu o przejawy żarłoczności oraz o nie uregulowane życie seksualne, o dążenie do nadmiernego i natychmiastowego zaspokojenia tych instynktów, z wykluczeniem wszelkich hamulców. Takie nieopanowanie, podkreśla autor, jest charakterystyczne dla dzieci, a zatem zasługuje na określenie mianem infantylizmu.

6. Zerwanie z tradycją. Dochodzi do tego, ponieważ osiągnięto krytyczny punkt, kiedy młodej generacji nie udaje się uzyskać porozumienia ze starszą kulturalnie generacją, a już zupełnie brak identyfikacji ze starszym pokoleniem. Ma to ten skutek, że młodzi traktują starsze pokolenie jak obcą etnicznie grupę, czemu towarzyszy jak gdyby „nacjonalistyczna nienawiść". Przyczyny zaburzeń tych stosunków szukać należy w braku kontaktów z rodzicami, co — podkreśla autor — zaznacza się już w wieku niemowlęcym i daje patologiczne skutki.

7. Nadmiar działalności indoktrynalnej. To zjawisko spowodowane zostało udoskonaleniem środków technicznych, które umożliwiają urabianie opinii publicznej, a tym samym uzyskanie ujednolicenia poglądów na ogromną skalę, przekraczającą wszystko, co w tym zakresie istniało dotąd w historii ludzkości. Do tego dochodzi jeszcze fakt, że sugestywny wpływ pewnych doktryn wzrasta w stosunku geometrycznym do liczby zwolenników. Jako przykład przytacza autor fakt, że tu i ówdzie traktuje się ludzi — unikających wpływu np. środków masowego przekazu — jako osoby nienormalne. Skutki tej dezindywidualizacji wykorzystują ci, którzy manipulują wielkimi masami ludzi. Badania opinii, przesadna, narzucająca się reklama, zręcznie kierowane wszelkiego rodzaju mody — są korzystne jedynie dla wielkich producentów, z wyraźną szkodą dla tych, którzy tym wpływom ulegają.

8. Wyposażenie ludzkości w bronie jądrowe stanowi niebezpieczeństwo, któremu najłatwiej można zapobiec (co wygląda na paradoks), podczas gdy zjawiska omówione w punktach 1—7 są trudne do zwalczania.

Omówionym zjawiskom dehumanizacji sprzyja pseudodemokratyczna doktryna, według której socjalne i moralne zachowanie się ludzi nie jest rezultatem historycznej ewolucji systemu nerwowego, lecz wyłącznie uwarunkowań, czyli że w całym cyklu rozwoju osobistego (ontogenezy) podlega ono wyłącznie kulturowemu otoczeniu. Autor przyznaje, że w ostatnim czasie niektóre szkodliwe zjawiska (jak np. zatruwanie środowiska naturalnego) zostały nieco złagodzone, ponieważ jednak ukazane w książce niebezpieczeństwa nie zostały przez większość ludzi potraktowane z należytą uwagą lub nie dotarły wcale do ich świadomości, trzeba o nich bez przerwy przypominać.

Lorenz wskazuje na znany fakt, że każde niebezpieczeństwo traci na sile, jeżeli pozna się przyczyny, które je wywołują. Zatem i jego wywody mogą się przyczynić do pomniejszenia niebezpieczeństw grożących ludzkości.

Książka Lorenza, napisana w 1973, doczekała się w ciągu niespełna dwu lat ośmiu wydań i rozeszła się (tylko w niemieckim wydaniu) w ponad 300 tysiącach egzemplarzy.

---

* Konrad Lorenz: „Die acht Todsünden der zivilisierten Menschheit". R. Piper et Co Verlag, München 1974.

Chory znad Betezdy

(Jan 5: 1—18)

KALINA: — Ten człowiek wydaje mi się taki niewdzięczny! Leżał beznadziejnie 38 lat nad sadzawką, Chrystus tak wspaniałomyślnie przywraca mu zdrowie, a on Go potem po prostu wsypał. Wprawdzie w tekście TOB * nie jest powiedziane, jak w dawnych tłumaczeniach, że „doniósł Żydom", ale że im „opowiedział". Tak czy inaczej, wynikło z tego coś negatywnego, co ostatecznie doprowadziło do Męki.

TERESA: — Włącza się tu wątek wrogich Chrystusowi opinii. Pojawia się opozycja. Zaczynają się szykany. Jako pierwszy, Żydzi wysuwają zarzut naruszenia sabatu. Chrystus występuje tu jako Pan sabatu, Żydzi jako obrońcy Prawa. Chrystus patrzy od strony człowieka, na jego dobro, Żydzi — od strony litery Prawa, na przestępstwo. To jest takie ludzkie! Każdą rzecz można widzieć z dwóch stron, dobrej i złej. Oni nawet Chrystusa chcą widzieć od złej. Nie zauważają w ogóle, że stało się jakieś wielkie dobro.

MAŁGORZATA: — Uzdrowienie musiało być dla tego człowieka szokiem, w sensie tak wielkiego szczęścia, że zapomniał nawet powiedzieć dziękuję. Dopiero faryzeusze zmusili go do refleksji: Kto cię uzdrowił? Może z wdzięczności właśnie wskazał im swego dobroczyńcę, nie przeczuwając, że to uzdrowienie zaliczą do dowodów przeciw Chrystusowi. Chyba najbardziej zabolało ich to, że Chrystus uważał się za równego Bogu, a więc wyższego od nich. Typowa reakcja: wykorzystują pretekst, aby zatuszować uczucia, które budzą się przy spotkaniu kogoś, kto nas przewyższa i komu się zazdrości. Bo chyba nie chodziło o prawdziwą wierność Prawu. Chrystus wysuwał się na pierwszy plan, detronizował ich, bronili więc swojej zagrożonej pozycji.

T. — Chrystus zapytał: „Czy chcesz być zdrowy"? Chory odpowiedział: „Nie mam człowieka...". I Chrystus sam stał się dla niego człowiekiem, który wyprowadził go z choroby. Straszny jest świat chorych, czekających na zdrowie, nawet jeśli mają nadzieję. Ten nie miał nadziei, bo nie miał człowieka. Chrystus mu go zastąpił; ale potem powtórnie spotkał go, jako Bóg, z poleceniem: „Nie grzesz więcej!" Uzdrowienia Chrystusa nie mają charakteru czysto medycznego — przyniesienia ulgi i koniec. Chrystus uzdrawia, ale domaga się czegoś, sięga głębiej, w ludzką duszę. Wyprowadza z nieświadomości, która jest właśnie chorobą duszy. Otwiera oczy, przestrzegając: uważaj, żeby ci się coś gorszego nie przytrafiło.

K. — TOB zaznacza w komentarzu, że tekst tego fragmentu nie mówi bynajmniej jakoby ta choroba była spowodowana grzechem. Ale było to powszechne przekonanie Żydów, że wszystkie choroby są skutkami grzechu. Chrystus nawiązuje więc zapewne do przekonania tego człowieka.

T. — Chrystus wskazuje na siebie jako na centrum siły uzdrawiającej, odwraca uwagę od tych elementów, które były pojmowane magicznie.

M. — „Panie, nie mam człowieka" — i Chrystus staje się oczekiwanym Człowiekiem. Jest w tym coś pięknego, coś z nadziei dla wszystkich samotnych. Chrystus zaznaczył kiedyś, że nie zdrowi potrzebują lekarza, ale chorzy. Podobnie przez tę sytuację daje do zrozumienia, że jest szczególnie potrzebny tym, którzy są całkowicie sami. Wzruszające jest to szczere przyznanie się chorego do własnej samotności. Ale Chrystus nie narzuca się ze swoją pomocą, pyta: „Czy chcesz?" Nas też pyta i nam pozostawia decyzję.

Przypomina mi się, przez kontrast, pewna scena z mego życia. Było to w Dakarze, w Senegalu. Jeździłam takim rowerkiem-składakiem, żeby coś zwiedzić, coś zanotować w chwilach wolnych od pracy na morzu. Miałam z tyłu, w koszu, mandarynki, którymi pożywiałam się w ciągu dnia. I oto zobaczyłam pod jakąś ścianą ludzi leżących jak śledzie, jeden przy drugim. Trędowaci. Po prostu szkielety ludzkie, bez nosów, bez palców, czasem bez oczu. I ze zwykłego odruchu litości rzuciłam im te mandarynki. Ale żaden nie mógł ich podnieść, choć wykonywali przeróżne ruchy, niekiedy całym tułowiem. Trzeba by im było gotowe, obrane podać do ust. Wówczas nie byłam jeszcze na tyle dojrzała. Trochę się bałam, trochę mnie odrzucało. I ostatecznie uświadomiłam sobie, że choć wszystko dałam, nic im nie dałam.

T. — Trzeba sens tego fragmentu Ewangelii przenieść na płaszczyznę życia. Bo każdy z nas czeka na wyjście z jakiejś sytuacji, na jakieś rozwiązanie, na człowieka, który by pomógł. Chrystus zajmuje jego miejsce, ale wchodzi z całą kulturą Boga, pytając: „Czy chcesz?". A potem pojawia się tryb rozkazujący: „Wstań, weź, chodź!" To są symbole wkraczania Boga w naszą egzystencję, Boga, który jest Siłą pozwalającą na wyjście z impasu, z którego sami nie możemy się dźwignąć.

K. — Tutaj nie zadziałał Bóg-Duch, ale Bóg, który przyszedł, zobaczył, zapytał, wiedział co to ból fizyczny i moralny.

T. — Największym dobrem, którym obdarzył tego chorego była samodzielność. Kiedy czekamy na drugiego człowieka, jesteśmy przez to uzależnieni. Ten tryb rozkazujący — wstań, weź, chodź! — to także synonimy usamodzielnienia. Chrystus zdejmuje piętno człowieka bezradnego. Zamiast „nie mam człowieka", zjawia się uczyniony przez Jezusa fakt, że chory staje się zdrowy, w pełni działający, samowystarczalny. A drugie spotkanie z Jezusem, w świątyni, uświadamia mu z kolei to, co przywraca człowiekowi wewnętrzną wolność i swobodę: „Nie grzesz więcej". Łaska. Gorszą od choroby ciała jest choroba duszy.

* Traduction Oecuménique de la Bible — Ekumeniczny przekład Biblii (franc.).

K. — Jest tu paralela do Jezusowego powiedzenia, że lepiej jest stracić rękę i nogę, czy nawet oko, byle by wejść do Królestwa Niebieskiego.

M. — Bo zdrowi nie doceniają, a niekiedy nadużywają swych władz i możliwości.

T. — I wreszcie to straszliwe niezrozumienie wśród Żydów. Kto uzdrowił? Po co przyszedł? Dlaczego? Memento dla nas, żeby nie stać po tej stronie, która wychodzi z pretensjami. Żydzi chcieli tego człowieka pozbawić radości. Wkroczyli nie z gratulacjami z powodu jego szczęścia, ale jak sędziowie, którzy sieją nieporozumienie między nim a Uzdrowicielem, intrygę między Bogiem a człowiekiem. Brzmi to jak ironia wobec faktu, że człowiek stał się samodzielny. A Jezus odsuwa się od tłumu.

K. — Już tu widać, że On choroby nasze wziął na siebie: za to, że uzdrawiał, będzie musiał ostatecznie iść na krzyż!

T. — Wziął na siebie odpowiedzialność za działanie, do którego miał prawo. Ale konflikt nabrzmiewa. Starali się Go zabić, bo Boga nazwał swoim Ojcem. Z tego uzdrowienia wynikło objawienie się Jezusa w szerszym aspekcie: Żydzi sami przez to zwrócili uwagę na Chrystusa i uświadomili uzdrowionemu, że jest On kimś większym niż oni.

K. — Z tego wynika, że każdy człowiek, niezależnie od tego, jakimi kieruje się pobudkami, może być dla nas pośrednikiem łaski.

T. — Właśnie każdy z nas ciągle pyta, albo jest pytany: Któż to jest Ten, kto cię interesuje, kto wchodzi tak intymnie w twoje życie. Któż to jest? To nie tylko lekarz i cudotwórca, ale Zbawiciel świata.

K. — Sługa Jahwe, który bierze na siebie nasze niemoce i nasze grzechy. W tym jest jakaś przepaść bez dna. Tego nie da się domyśleć do końca.

T. — Chrystus tego człowieka uratował od samotności, ale sam stał się straszliwie samotny. Zamiast okazać Mu wdzięczność, solidaryzując się z uzdrowionym, ludzie nienawidzą Go. Pada nawet słowo: zabić. Formuje się przeciw Niemu wrogi front. I On naprzeciw, samotny.

K. — Istotnie. Nie ma tu ani apostołów, ani uczniów, w których miałby zaplecze życzliwości. Jest tylko ten uzdrowiony, ale jak gdyby obojętny, i jest wrogi front.

T. — Wspaniale zarysowuje się tu tło, na którym występują dwie potęgi. Otwiera się soteriologia powszechna, perspektywa uniwersalna. Ale cierpiącym i samotnym staje się już nie człowiek znad sadzawki, tylko sam Zbawiciel świata.

M. — Chrystus świadomie wykorzystywał każdy czyn dla wskazania na Ojca i objawienia swego bóstwa. Podobnie w tej sytuacji. Przecież mógł się inteligentnie wycofać. Ale nie, On wychodzi frontalnie i stawia sprawę bezdyskusyjnie: Ojciec działa i ja działam. Ale czy do momentu krwawego potu rzeczywiście czuje się samotny? Postawienie sprawy na stopie wojennej wymagało fantastycznej odwagi i dlatego tylko, że był z Ojcem, mógł sobie na to pozwolić.

T. — Ale przyjmując nasze człowieczeństwo, przyjął wszystkie jego uwarunkowania. Jego obcowanie z Ojcem było jakoś w Jego ludzkiej naturze przyćmione. Odsuwa się od tłumu, chce spokoju, aby się modlić. Żyje konfliktowym życiem człowieka. Smuci się, bywa zmęczony, cierpi.

K. — Przecież przyjmując postać sługi, jak mówił apostoł Paweł, Jezus stanął w sytuacji kogoś, kogo można było osądzić, skazać i ostatecznie zabić. Tutaj wychodzi śmiało naprzeciw, bo wie, że konflikt z faryzeuszami jest nieunikniony i zaczyna się z powodu dobra zdziałanego na korzyść człowieka.

T. — To jest pierwsze cierpienie, jakim okupuje Nowe Przymierze — nienawiść ludzka. „Ojciec działa i ja działam"; nazywa siebie Bogiem; to musiało być dla Żydów straszne.

K. — Było dla nich po prostu jednym wielkim bluźnierstwem.

M. — Przecież to najtrudniejsza rzecz, zmienić mentalność!

T. — Ale zmieniając chorego w zdrowego, Chrystus zmienił mu mentalność. Może ten uzdrowiony człowiek odtąd cierpiał z powodu Chrystusa? Nic o tym nie wiemy. Ewangelista zwraca uwagę na postawy, jakie się wobec Jezusa formują. Postawa nienawiści Żydów i uwyraźniona postawa uzdrowionego. Bo przecież Chrystus jak gdyby zmusił go do uświadomienia sobie, że czuje potrzebę Jego przyjścia. 38 lat beznadziei i raptem Ktoś zapytuje: „Czy chcesz"?

K. — Skoro nie miał człowieka, to może już przestał chcieć, może wygasła w nim chęć zmiany? I to „Czy chcesz?" jest dla niego równoznaczne z pytaniem „Czy wierzysz?". On już chyba nie był w stanie wierzyć. Dlatego pierwszy etap to chcieć być aktywnym. Chrystus wyrywa go ze stanu bierności i odrętwienia.

T. — Powiedzenie „Nie mam człowieka" świadczy o jego wewnętrznej tragedii. Ale to jest nasza wspólna rzeczywistość, że jest się pośród ludzi, a tak często jest się samotnym. I Chrystus także odszedł od tłumu, który tam był. Na samotność. Chrystus zawsze przychodzi i odchodzi. Rozpoznawanie Boga jest kwestią chwili, momentem przychodzenia Boga.

K. — Albo paschą, czyli przejściem Chrystusa. Trzeba uważać, żeby się z Nim nie rozminąć. Przypomina mi się tu fragment „Pieśni nad Pieśniami", kiedy Oblubieniec przychodzi i puka do drzwi. A Oblubienica odpowiada z wewnątrz, że już nogi umyła, że jest w łóżku, nie może wstać. A kiedy zmobilizowała się i poszła otworzyć, jego już nie było. Pozostał tylko zapach myrry na klamce. Podobnie tutaj: Chrystus przechodzi i pozostawia po sobie zapach zdrowia i energii. Ale Jego już nie ma. Trzeba Go szukać albo czekać, aż znowu sam się zjawi.

T. — Faryzeusze nie chcieli zaaprobować nie tylko Jego samego, ale i Jego działania.

K. — Jego działanie zawsze zmierza do tego, aby pociągnąć człowieka ku Sobie. Czy Bóg mówi, czy milczy, czy działa, zawsze chce od człowieka tego samego — wewnętrznego zbliżenia. Właściwie chodzi o to, żeby ciągle, wpadając w sferę Bożego przyciągania, dać się porwać ku Niemu i nie wypadać z orbity Jego przyciągania. Bo wtedy, jak kometa, jest się na pustym, beznadziejnym biegu.

T. — Tak, chodzi o to, żeby nie należeć do tłumu, od którego Chrystus się odsuwa, aby być tym człowiekiem przyciągniętym, który z kolei przyciąga innych ludzi i Boga, żeby pozostał z nami.

Opr. K.M.

Księga Jeremiasza

Odcinek 22

Druga księga prorocka, Jeremiasza, jest nieco krótsza od poprzedniej, składa się jednak z 52 rozdziałów. Dzięki jej oryginalnej budowie można stwierdzić, w jaki sposób powstały księgi prorockie. Składa się ona z części zawierających mowy proroka oraz z części narracyjnych, zredagowanych przez sekretarzy bądź uczniów proroka, takich jak w przypadku Jeremiasza, Baruch. Jemu to zawdzięczamy, że znamy różne epizody z życia Jeremiasza i że wiemy o wiele więcej o nim niż o Izajaszu czy Ezechielu. Trudno jest jednak zrekonstruować biografię tego człowieka, który poświęcił całe swe, przypuszczalnie bardzo długie, życie służbie Bożej, trwającej prawdopodobnie prawie 40 lat (od 625 do około 586 przed n.Ch.). Trzeba dodać, że dopiero w 23 roku działalności Jeremiasz zaczął dyktować swe mowy Baruchowi (r. 36), z czego łatwo wysnuć wniosek, że wiele z tego, co mówił, nie zachowało się. Na szczęście zasadnicze myśli dostatecznie jasno zostały przedstawione w zebranych przez Barucha fragmentach, które składają się na znaną nam Księgę Jeremiasza.

MOWY PROROKA I CZĘŚCI HISTORYCZNE

W tej księdze mowy proroka przeplatają się z opowiadaniami o życiu Jeremiasza. Baruch spisał pod dyktando proroka jego mowy i prawdopodobnie samodzielnie zredagował resztę. Każdy fragment mów ma odpowiednik w określonym fragmencie opowiadań.

Po historii powołania młodego Jeremiasza (r. 1) znajdujemy szereg jego mów, w których nawołuje lud do powrotu do Boga i grozi karą za niewierność Panu (r. 2 do 25). W rozdziałach 26 do 29 znajdujemy opowiadania o walkach Jeremiasza z jego przeciwnikami i fałszywymi prorokami.

Następnie znowu mamy mowy zapowiadające możliwość odnowienia przymierza Boga z ludem (r. 30—33). Dane biograficzne (r. 34—45) pozwalają nam poznać perypetie Jeremiasza, który niezrozumiany żyje w ciągłym zagrożeniu, jest prześladowany, a ostatecznie zostaje uprowadzony do Egiptu przez grupę zbiegów, którzy chcieli uniknąć niewoli babilońskiej.

Rozdziały 46—51 zawierają mowy Jeremiasza przeciwko obcym narodom — Egiptowi, Babilonowi, Filistynom, Moabitom, Amonitom, Edomitom, Aramejczykom, zaś rozdział 52 — opis oblężenia i zdobycia Jerozolimy przez Babilończyków, zgodny z tym, co czytamy w II Król. 24 : 18 do 25 : 30. Proroctwa Jeremiasza — bardziej niż któregokolwiek innego proroka — stają się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy zna się współczesne mu wydarzenia historyczne.

TRAGIZM SYTUACJI

Około roku 590 przed n.Ch. Jerozolimie ponownie zagroziły wojska babilońskie, w kilka lat po wywiezieniu części ludności. Promień nadziei zabłysnął w sercu króla Judei, Sedekiasza, na wieść o tym, że Egipcjanie zdają się gotować do wyjścia ze swego kraju i rozpoczęcia walki z Babilończykami, co dawałoby szansę uwolnienia Jerozolimy. Jak wszyscy królowie żydowscy stara się on, aby prorok wstawił się do Boga za Jego ludem. Tymczasem prorok, odwrotnie, głosi coś zupełnie przeciwnego do oczekiwań króla — Nabuchodonozor wkrótce powróci, aby zburzyć stolicę. Należy zdać się na Boga i przyjąć tę klęskę i ten wstyd. Ku wielkiemu oburzeniu przywódców żydowskich, Jeremiasz posuwa się do tego, że nazywa króla Babilonu sługą Bożym, który wypełnia Boży plan i że wszelkie przepowiednie zapowiadające szczęście, zwycięstwo i ocalenie są kłamstwem i oszustwem (r. 27—28).

W tym czasie Jeremiasz zostaje aresztowany podczas usiłowania opuszczenia Jerozolimy. Oskarżony o chęć przejścia na stronę wroga i o zdradę, zostaje wtrącony do więzienia (r. 37—38). Czyż nie opowiadał się po stronie wroga, przeciwko swemu narodowi? Czy nie wygląda na to, że wciągnął Boga do swoich zabiegów? A przecież to miłość do jego ludu i miłość do Boga trawiła tego wielkiego samotnika wewnętrznym ogniem, który zmuszał go do mówienia (r. 20 : 7—13). Można powiedzieć, że wszystko, co on robił, tłumaczy się tragicznym rozdarciem w sercu — całą swą naturą i najgłębszymi uczuciami prorok był związany ze swoim ludem; kochał go i z nim razem cierpiał. Równocześnie, ze względu na powołanie, którego geneza sięga aż jego narodzin, i ze względu na powierzoną mu przez Boga misję, musi przeciwstawiać się swemu narodowi, piętnować grzech królów, przywódców, kapłanów, proroków i zapowiadać karę Bożą w postaci najazdu Babilończyków i zniszczenia Jerozolimy.

SŁABY STAJE SIĘ MOCNY

Jako nieśmiały i lękliwy młody człowiek Jeremiasz dowiaduje się od Boga, że został przez Niego jeszcze przed urodzeniem przeznaczony do spełnienia roli „miasta warownego, słupa żelaznego i muru spiżowego" przeciwko swemu ludowi.

Jest on poetą, który podziwia piękno kwitnącej gałązki drzewa migdałowego, co mówi mu o Bożej wierności, a równocześnie widzi rozpalony kocioł, z którego wylewa się wrzątek, co mówi mu o Bożej karze (r. 1).

Człowiek, wrażliwy i uczuciowy, na Boży rozkaz nie żeni się, bo na kraj spadną nieszczęścia i staną się przyczyną śmierci rodziców i ich dzieci. Pozostanie więc samotny (r. 16). On, człowiek modlitwy i wiary, zostaje zobowiązany do występowania przeciw świątyni i na-

bożeństwom, ponieważ lud chełpi się swoją religijnością w sposób obłudny i kłamliwy (r. 7 i 26).

Otoczony przez szyderców, skorych do oskarżania go, prorok chciałby zamilknąć i usunąć się w cień, lecz jakże ma stłumić ten trawiący go ogień wewnętrzny, ten przymus mówienia mimo wszystko, dowodzący, że Bóg jest mocniejszy od niego? Wtrącony do więzienia mówi dalej, wrzucony do cysterny nie milknie, zagrożony śmiercią ciągle przemawia; ścigany przez króla, który po przeczytaniu zniszczył zwój z jego proroctwami, Jeremiasz od nowa dyktuje swe mowy Baruchowi (r. 36). Uprowadzony siłą do Egiptu przez grupę uchodzących przed zagrożeniem ze strony Babilonu Żydów, już jako starzec w dalszym ciągu występuje przeciwko bałwochwalcom i niewiernym Bogu (r. 43—44).

Jakim błędem jest przedstawianie go jako lamentującej przez całe życie płaczki! W rzeczywistości był to bojownik, człowiek niezłomny, sprzeciwiający się aż do końca, ponieważ to Bóg, Pan ludu izraelskiego i wszystkich narodów, wybrał go, aby za pośrednictwem tego słabego instrumentu słychać było Jego głos. Lecz równocześnie jest to czowiek, który ma wizję odległej przyszłości. Wie, że Bóg nie karze dla samego karania, ale po to, by wzywać do opamiętania. Nadejdzie dzień, gdy obietnica przyszłości stanie się rzeczywistością. Z ludem, który zerwał pierwsze przymierze — tak jak niewierna narzeczona swe zaręczyny — Bóg zawrze przymierze nowe, które wryje mu się w serce i rozszerzy się na cały świat (r. 31, 31—34). Potomstwo Dawida otrzyma króla sprawiedliwego, który przyniesie zbawienie swemu ludowi (23 : 1—8). Podczas gdy płoną szczątki Jerozolimy i świątyni, a kolumny uprowadzanych wstępują na drogę do Babilonu — Jeremiasz dostrzega już ukazujące się światło Bożego Narodzenia.

Tłum. W.T.

Frank Michaeli: „39 livres en un seul".

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

Dnia 15 czerwca 1976 roku Pan odwołał do siebie

†
ś. p.

ks. dr. ANDRZEJA WANTUŁĘ

biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, profesora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

Bratniemu Kościołowi i Rodzinie Zmarłego wyrazy serdecznego współczucia i braterskiej solidarności w Ich smutku

składa

KONSYSTORZ KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO I ZESPÓŁ REDAKCYJNY „JEDNOTY"

„Jak w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy ożywieni zostaną... Bądźcie stali, niewzruszeni, zawsze pełni zapału do pracy dla Pana, wiedząc, że trud wasz nie jest daremny w Panu" I Kor. 15:22.58

Z KRAJU

W dniach 6—7 marca br. odbył się w Warszawie Synod Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Uwaga Synodu koncentrowała się głównie na sprawozdaniu biskupa ks. Janusza Narzyńskiego. Mówca w sposób interesujący i pogłębiony przedstawił sytuację Kościoła w ciągu trzydziestolecia powojennego oraz w chwili obecnej, a także zapoznał zebranych z projektami na przyszłość. Referat zawierał wiele myśli biblijnych i refleksji teologicznych. Postawione zostały pytania — Jak wygląda nasze naśladownictwo Chrystusa? Co dominowało w naszym życiu? Ku jakiej dążymy przyszłości?

Biskup przypomniał powojenne lata odbudowy Kościoła z gruzów, okresy działalności swych poprzedników — ks. prof. Jana Szerudy, ks. dr. Karola Kotuli i ks. prof. Andrzeja Wantuły. Posługując się zestawieniami statystycznymi przedstawił przemiany zachodzące w Kościele, jego straty lecz również rezerwy i dalsze możliwości.

Mówca zanalizował różne przejawy pracy Kościoła. Doceniając znaczenie działalności ewangelizacyjno-misyjnej, zalecał wypracowanie własnych metod, a przestrzegał przed bezkrytycznym naśladowaniem cudzych doświadczeń. Omawiając pracę z młodzieżą i dziećmi, zapowiedział powołanie duszpasterza młodzieżowego oraz opracowanie odpowiednich materiałów do nauczania kościelnego, szkolenie pracowników, powołanie wizytatorów. Zająć się należy również nauczaniem dorosłych. Bardzo istotną sprawą jest teologia rodziny. Duży nacisk położył mówca na przygotowanie kandydatów do służby kościelnej. Przedstawił przewidywane zmiany kadr w ciągu najbliższych 25 lat, zwracając przy tym uwagę na potrzebę mieszkań dla emerytowanych duchownych. Podkreślił ogromne znaczenie diakonii jako jednej z zasadniczych form świadectwa chrześcijańskiego.

Niezmiernie ważna jest działalność wydawnicza. Nowy przekład Pisma św., który ukazał się w zeszłym roku, jest dziełem wieloletniej pracy teologów luterańskich.

Z zadowoleniem wspomniał mówca o dobrej atmosferze ekumenicznej w kraju. Wspomniał także o obradach ŚRK w Nairobi.

Kończąc swe sprawozdanie ks. bp Narzyński powiedział, że pomyślna przyszłość Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego wymaga od jego członków — żywego świadectwa, wspólnoty, gotowości do służby. Zaapelował również o rzetelne spełnianie codziennych obowiązków i dążenie do tego, by ewangelicy, będący w naszym społeczeństwie mniejszością, stanowili twórczą jego część.

ZE ŚWIATA

Pod przewodnictwem metropolity Nikodema z Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego i Roberta Mossa, prezydenta Zjednoczonego Kościoła Chrystusa w USA odbyło się od 31

marca do 3 kwietnia w Marriottsville, Maryland, USA, spotkanie szesnastu przedstawicieli siedmiu Kościołów z Europy Wschodniej i dwudziestu sześciu przedstawicieli Kościołów z Ameryki Północnej. Podczas spotkania dyskutowano nad tematem: „Kościół usługujący — jaki jest stosunek Kościołów uczestniczących w spotkaniu do rządu i społeczeństwa". Referaty na ten temat przedstawili: William P. Thompson, przywódca Zjednoczonego Kościoła Prezbiteriańskiego USA, prezydent Amerykańskiej Rady Kościołów i Światowego Aliansu Reformowanego oraz pastor Rolf-Dieter Guenther z Kościoła w Berlinie-Brandenburgu, NRD. W otwartej i szczerej dyskusji na temat roli Kościołów w różnych sytemach społecznych skoncentrowano uwagę na zagadnieniach odprężenia, pokoju, sprawiedliwości, praw człowieka i rozbrojenia. Spotkanie nosiło nazwę „Karlove Vary III" od pierwszego spotkania działaczy kościelnych Ameryki Północnej i Europy Wschodniej, które odbyło się w tym mieście, w roku 1962.

■ Komitet Roboczy Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej obradował od 5 do 8 kwietnia br. w New Windsor, Maryland, USA. Prezydent ChKP, metropolita Leningradu i Nowogrodu Nikodem wyraził nadzieję, że całkowite rozbrojenie mogłoby stanowić pomoc w stworzeniu nowego i sprawiedliwego międzynarodowego ładu ekonomicznego, umożliwiającego proporcjonalny podział dóbr pomiędzy wszystke kraje. Członkowie Komitetu wysłuchali trzech referatów i dyskutowali nad tematem: „Moralne zadania chrześcijan w walce o rozbrojenie". Podczas zebrania wystąpił Aleksander Kokorew, pierwszy sekretarz ambasady ZSRR w Waszyngtonie, który stwierdził, że „ludzkość jest znużona zagrożeniem, jakie przedstawia ogromna ilość różnorodnych broni". Apelował on o wyraźne opowiedzenie się za politycznym odprężeniem militarnym. Komitet wysłuchał sprawozdania sekretarza generalnego, Karoly Totha, na temat działalności ChKP oraz przyjął do wiadomości i przedyskutował oświadczenie A. K. Thampy'ego o sytuacji w Indiach. Komitet roboczy opracował dokument wzywający do zniszczenia wszystkich broni nuklearnych, biologicznych i chemicznych oraz wezwał wszystkie Kościoły świata do poświęcenia uwagi obchodom Światowego Tygodnia Rozbrojenia w czerwcu br. Członkowie Komitetu zwiedzili miejsca związane z historią Stanów Zjednoczonych oraz w niedzielę, 4 kwietnia, wygłosili kazania w kościołach Waszyngtonu i okolic. Delegacja Komitetu była przyjmowana przez grupę członków Kongresu USA. Z Polski w posiedzeniu uczestniczyli: ks. prof. Witold Benedyktowicz i ks. Zdzisław Pawlik.

● Prof. Max Geiger podczas spotkania przedstawicieli szwajcarskich Kościołów reformowanych i luterańskich w Leuenbergu k. Bazylei oświadczył, że niewspominanie o Konkordii Leuenberskiej byłoby równoznaczne z jej końcem. Konkordia nie jest aktem jednorazowym, lecz żywym procesem. Prof. Geiger był jednym z rzeczników rozmów, które doprowadziły do uchwalenia Konkordii Leuenberskiej (1973). Jak wiadomo, dokument ten przewiduje pełną wspólnotę ambony i ołtarza dla Kościołów reformowanych, luterańskich i unijnych w Europie. Dotychczas podpisało go 60 Kościołów.

● Nowym przewodniczącym Narodowej Rady Kościołów w USA został dr William P. Thompson. Pełni on już obowiązki sekretarza generalnego Zjednoczonych Kościołów Prezbiteriańskich w USA oraz prezydenta Światowego Aliansu Reformowanego. Na stanowisku przewodniczącego Narodowej Rady Kościołów dr Thompson jest następcą ks. dr. W. Sterlinga Cary'ego ze Zjednoczonego Kościoła Chrystusowego.

● Kościół prezbiteriański na Tajwanie złożył ostatnio oświadczenie, w którym domaga się wolności religijnej i sprawiedliwości społecznej w swoim kraju. Światowy Alians Reformowany, którego ten Kościół jest członkiem, zapewnił, iż udzieli mu poparcia „w modlitwie i akcji". Prezydent Aliansu, dr William P. Thompson, oraz sekretarz generalny, dr Edmond Perret, wyrazili Kościołowi prezbiteriańskiemu Tajwanu uznanie za odwagę publicznego zaprezentowania tak ważnych spraw.

● Po raz pierwszy w historii Hiszpanii ukazało się wspólne oświadczenie Katolickiej Komisji do Spraw Sprawiedliwości i Pokoju oraz Kościołów protestanckich. Kościoły chrześcijańskie domagają się, by przywrócono ludzkie i obywatelskie prawa w Hiszpanii oraz zastosowano powszechną amnestię wobec więźniów politycznych. Ze strony protestanckiej oświadczenie podpisali przedstawiciele Hiszpańskiego Kościoła Ewangelickiego, Hiszpańskiego Reformowanego Kościoła Episkopalnego i Kościołów wolnych.

● Rada Europejska Federacji Baptystów zbierze się po raz pierwszy w kraju socjalistycznym. Jej posiedzenie odbędzie się w dniach 16—20 września 1976 w Budapeszcie. W skład Federacji wchodzi 28 Kościołów zrzeszających ok. 3 500 000 członków. Dwie trzecie zamieszkuje kraje socjalistyczne, głównie Związek Radziecki. Także Polski Kościół Chrześcijan Baptystów jest członkiem Federacji Europejskiej.

● W Związku Radzieckim przygotowywane jest nowe wydanie całej Biblii, którę ma się ukazać jeszcze w bieżącym roku. Nie znamy jeszcze wysokości nakładu. Wiadomo natomiast, że ukaże się również osobne wydanie Nowego Testamentu.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83. Prenumerata w kraju: roczna — 92 zł, półroczna — 46 zł. Zagraniczna roczna — 184 zł. Cena numeru pojedynczego — 8 zł. Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3845-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 8 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch", Zakł. Graf. W-wa, ul. Srebrna 16, zam. 393-76/O, nakł. 1800 egz. J-31